

# DUŻYFORMAT



RYS. PIOTR CHATKOWSKI

**Z psychiatrą Cezarym Żechowskim rozmawia Tomasz Kwaśniewski**

# ODLOTY SZEFÓW

Na polskich drogach

# Szukajcie SWOICH DZIECI

– Na jaką pomoc mogą liczyć ofiary i ich rodziny?  
Na żadną

Agnieszka wyskakuje z łóżka z krzykiem:  
– Zaspaliśmy do szkoły!  
Po chwili uświadamia sobie:  
– A nie. My się już do szkoły nie spieszymy.

## NOCOWANKI

Zostały jej zdjęcia i filmiki.

Na przykład takie: stoją razem z córką w zimowych kurtkach. 45-letnia Agnieszka: blond włosy ścięte krótko, w ręce papieros, skrzyżowane nogi. Obok Ola, dziesięcioletka z długimi blond włoskami wystającymi spod czapki, w tej samej co mama pozie, zamiast papierosa trzyma hot doga.

Albo: Ola w zielonej koszulce, spódnicy harcerskiej i czerwonej chustce, przed mikrofonem. Śpiewa „Hallelujah” Cohena i wygrywa harcerski festiwal. Strasznie się cieszyła.

Albo Ola na TikToku. Macha rękami w rytm „Shape of You” Eda Sheerana.

Na każdym zdjęciu i filmiku uśmiech.

Agnieszka wszystkie trzy córki wychowywała właściwie sama. Ola, najmłodsza, tak jak siostry uczyła się w szkole muzycznej. Zaczęła od skrzypiec, potem zabrała się za flet poprzeczny. Uwielbiała konie, pływanie i plażę. Z mamą uczyły się jeździć na rowerze i na rolkach.

Agnieszka obiecała Oli, że nauczy się dla niej pływać.

Jako menedżerka na eventach miała elastyczne godziny pracy. Chciała córce pokazać, że nigdy nie jest za późno na spełnianie marzeń.

Agnieszka nie chciała puścić 10-letniej Oli do koleżanek na nocowanki. „Mamo, ale ja już jestem nastolatką!”

Kiedyś od psycholożki Agnieszka usłyszała: „Pani musi wyluzować. Proszę jej nie kochać za bardzo”.

Szlak przetarły starsze siostry. 20-letnia Agata dla Oli była tą siostrą od ciuchów i make-upu. 19-letnia Justyna była siostrą od odrabiania lekcji i harcerstwa. Z Justą wyjeżdżała na obozy i na górę Świętej Anny, nad morze.

Gdy Ola znów zapyta: „Mamo, mogę iść na nocowanki do Zuzi? Będzie też Wika!”, Agnieszka nie chce się zgodzić.

Interwenują starsze siostry: „Mama, opanuj się, puść ją. Nas przecież puszczałaś”.

W końcu ulega i zmienia zdanie.

Tej decyzji nigdy sobie nie wybaczy.

## HALO, BYŁ WYPADEK

Ola, Wika i Zuzanna to nierozłączne trio ze szkoły muzycznej. Zuzanna mieszka pod Legnicą z mamą katechetką. Ojciec to organista.

Mama Zuzy, u której dziewczynki zostają na noc, obiecuje, że następnego dnia odwiezie je do domów. Agnieszka nie mogła przewidzieć, że ko-

bieta nie dotrzyma słowa. Nie wsiądzie do samochodu, tylko wyśle swojego syna Krystiana, 19-letniego brata Zuzy.

Agnieszka tego dnia jedzie na Mazury w rodzinnych sprawach. Z trasy dzwoni jeszcze do Oli.

– Mamuś, super się bawię, zaraz idziemy z psem na spacer, ale wiesz co, zajęta jestem, nara – kończy 10-latka.

Jest po 19.00, gdy Agnieszka odbiera telefon. Mama Zuzy: – Był wypadek. Szukajcie swoich dzieci.

Agnieszka zwraca do Legnicy, na stacji zatrzymuje się tylko po energetyka i papierosy.

I wtedy dzwoni starsza córka Agata.

– Mamusiu, w tym wypadku jest jedna ofiara śmiertelna. I to jest nasza Ola.

## KIEROWCA PRZEKRĘCA KLUCZYK

Wjazd do Legnicy od strony Jawora. Dwupasmowa droga, ograniczenie prędkości do 70. Żadnych domów, tylko fabryki, magazyny i las.

Godzina 19.00, po zmroku, świecą latarnie. Jezdnia mokra, pada lekki deszcz. Ruch niewielki. Krystian pędzi w kierunku Legnicy, nagle jego fiat punto wpada w poślizg, przejeżdża przez pas zieleni na drugą jezdnię. Samochód obraca się o 90 stopni, w prawy bok uderza mercedes sprinter.

Zgniecione punto wypada z drogi i spada ze skarpy.

Jeden ze świadków, który jako pierwszy dobiegł do fiata, opowiadał śledczym, że w środku widział przytomnego kierowcę. Próbowal przekręcić kluczyk i uruchomić silnik. Z tyłu dwie dziewczynki, wyglądały, jakby spały.

Inni świadkowie zeznali, że fiat poruszał się z „dość dużą” lub wręcz „ogromną” prędkością.

Biegły oszacuje, że licznik Krystiana pokazywał między 95 a 115 km na godz. Wykluczy udział osób trzecich, zwierząt albo innych przeszkód.

Zuzanna, która zaprosiła koleżanki na noc, została w domu. Nic jej się nie stało.

Ola zginęła na miejscu.

Wiktoria miała złamany kręgosłup, ciężki uraz czaszkowo-mózgowy. Po pięciu dniach w szpitalu lekarze stwierdzili śmierć mózgu.

Krystian miał uraz klatki piersiowej, połamane żebra, pękniętą aortę. Lekarze dawali mu kilka procent szans. Przeżył.

## NAJGORSI SĄ MŁODZI MĘŻCZYŹNI

1896 – tyle osób zginęło na polskich drogach w 2022 r.

To wielkie szczęście, bo we wcześniejszych latach w wypadkach ginęło grubo ponad dwa tysiące osób rocznie. Polskie jezdnie przez lata pozostawały jed-



nymi z najbardziej śmiertelnych w Unii Europejskiej. Od 1990 r. pochowaliśmy ponad 160 tys. drogowych ofiar.

Straty spowodowane wypadkami szacowane są na ponad 56 mld zł rocznie.

Liczbę wypadków śmiertelnych udało się zmniejszyć dzięki zeszlorocznym rozporządzeniom MSWiA: wyższemu taryfikatorowi mandatów i nowym przepisom, dzięki którym pierwszeństwo przed samochodem ma pieszy wchodzący na przejście, a nie tylko – jak dotychczas – znajdujący się już na pasach.

Słaba to jednak pociecha, gdy uświadomimy sobie, że są w Europie kraje, które szybkim krokiem zmierzają w stronę „wizji zero” – zerowej liczby śmiertelnych wypadków na drogach. Nie wiadomo też, czy pozytywny trend się utrzyma, bo – jak stwierdzili kontrolerzy z NIK – polski rząd nie ma żadnej długofalowej polityki bezpieczeństwa na drogach.

Największym zagrożeniem pozostaje nadmierna prędkość, która odpowiada za 40 proc. wszystkich ofiar śmiertelnych; 85 proc. kierowców przekracza prędkość nawet przed przejściem dla pieszych.

Największe niebezpieczeństwo na drogach stwarzają młodzi mężczyźni w wieku 18-24 lat, którzy odpowiadają nawet za jedną czwartą wszystkich śmiertelnych ofiar. Jest to najgorszy wynik spośród wszystkich grup wiekowych.

Krystian w momencie wypadku miał 19 lat.

## DO NIEBA W KOLCZYKACH

Matka marzy, że będzie z córką wybierać sukienki na bale. Do ślubu. Agnieszka musi wybrać sukienkę do trumny?

Nagle uaktywnia się ojciec Oli. Dzień przed pogrzebem wysłał zdjęcie kolczyków dla Oli. Agnieszka myśli: chłopie, jak ty jej nie znałeś. Jeszcze jej to na uszy załóż, żeby do nieba z kolczykami, które ją będą wkurwiać, wchodziła.

Z pogrzebu Agnieszka mało pamięta. Otwartą kaplicę, spod której wyfrunął gołąb. Ukochaną piosenkę Oli – „Hallelujah” Cohena – którą zaśpiewali harcerze.

Rodziców Zuzanny i Krystiana w tylnych rzędach. W drodze na pogrzeb Oleńki dostaje informację, że Wiktoria się nie wybudziła. Będą odłączać od aparatury. Myśli o ich klasie:

– Boże, te biedne dzieci chowają jedną koleżankę ze świadomością, że zaraz będą chować kolejną.

BARTOSZ  
JOZEFIAK





FOCUS/SHUTTERSTOCK

A w sobotę, jadąc na cmentarz, dostaje SMS-a od mamy Krystiana. Chłopak się wybudził.

Agnieszka: – Dlaczego akurat on, kurwa, przeżył? A one tam leżą?

Jakby mogła, toby go zabiła. Aż ją ta nienawiść prze-  
raza. Bo przecież on też jest ofiarą. Może pękła opona, wybiegło zwierzę, coś mu zajęchało drogę. Szkoda chłopaka, jeszcze będzie miał zmarnowane życie.

## LEGNICKIE PUŁAPKI

Starsze córki chowają z zasięgu wzroku rzeczy Oli.

Agnieszka żyje jak człowiek po wylewie. Nie potrafi się ubrać, znaleźć rzeczy w szafie. Nie myje się, dopóki dorosłe córki jej nie powiedzą: „Słuchaj, chyba już powinnaś”.

W klatce piersiowej czuje ból, jakby miała za małe płuca, żeby złapać oddech.

Nie je kilka dni, aż zaczynają jej się trząść ręce. Od lekarki słyszy: już nie wiem, co ja mam z panią zrobić. Po tej dawce leków dziewczyny lodówkę z obudową zjadają, a pani dalej nie czuje głodu.

Liczą się dwie rzeczy: papierosy i kawa. Bez nich wpada w panikę.

No i squishy. To taka gniotka – maskotka z marketu. Okropnie droga, ale Ola strasznie prosiła, więc Aga jednego dnia przysłała do domu z maskotką schowaną za plecami. Ola aż pisnęła: „Squishy!”.

Kiedy Agnieszka nie wie, jak oddychać, łapie squishy i wyobraża sobie Olenieńkę z tym uśmiechem.

Wcześniej nie tykała alkoholu. Teraz codziennie jeden drink, ale mogło też być ich osiem. Zależy, ile potrzebowała, żeby spokojnie zasnąć. W końcu po trzech miesiącach psycholog pomaga jej odstawić whiskey z colą.

Legnica cała składa się z pułapek. Każdy sklep, gdzie robili z Olą zakupy, cukiernia, gdzie jadły lody, poradnia, lekarz. Do galerii handlowej, gdzie kupiły sobie razem legginsy, tylko weszła i zaraz zawróciła. Poskładał ją ten widok. Innym razem w sklepie wpadła w histerię, że bez telefonu do psychologa nie doszłaby do domu.

Życie idzie tak: kilka dni przyzwyczajenie, przyzwyczajenie, a potem jakaś pierdolka, cokolwiek, co przypomina o Oli. I już trzy tygodnie poskładane.

Leki. Kilka razy w tygodniu rozmowa z psychologiem. Chodzi do niego z jednym pytaniem: „Co ja mam przez te wszystkie lata robić do śmierci?”.

Myśli o tym, żeby się poddać. Może nie, żeby sobie celowo odebrać życie, raczej tak: to ja sobie tu poleżę i poczekam.

Córki starają się mamę chronić, ale też ledwo same dają radę. Najgorsza dla Agnieszki sytuacja: odbiera Ignasia z przedszkola. Wnuk idzie i śpiewa sobie piosenki. W pewnym momencie ni z gruchy, ni z pietruchy pyta:

– Babciu, a ty nie mogłaś poprosić kogoś innego, żeby zabrał Olę?

## JEDZIESZ – MYŚL

Agnieszka w prokuraturze czyta zeznania świadków, opinię biegłego. Widzi, z jaką prędkością jechał Krystian.

Myśli: – Gdzie się, kurwa, człowieku, spieszyłeś? No gdzie?

Prokuratura ustali, że chłopak dostawał tego wieczoru SMS-y od koleżanki: „Co z tobą? Czekają shoty na ciebie. Zaraz przyjdzie Piotrek i wypije”.

Śledczy zarzucają Krystianowi, że nieumyślnie spowodował wypadek. Kara: do ośmiu lat więzienia.

Agnieszka obchodzi legnickich adwokatów. Od każdego słyszy:

– Proszę pani, chłopak niekarany, trzeźwy... tu zawiasy będą. Jeszcze nigdy w takiej sprawie sprawca nie trafił za kraty.

Myśli: jakbyś chciał zabić człowieka, to pamiętaj, żeby to zrobić samochodem.

Agnieszka ma dobre powody do niepokoju. Jeszcze trzy lata temu polskie sądy standardowo skazywały sprawców wypadków na kary w zawieszeniu. Orzecznictwo zaczęło dopiero ostatnio zmieniać się pod wpływem głośnych wypadków, których sprawcami byli młodociani szoferzy.

W tamtej chwili Agnieszka ma prawo przypuszczać, że Krystian po rozprawie sądowej wyjdzie wolny.

Agata, najstarsza siostra Oli, nagrywa filmik na Facebooku. Siada na wprost kamery, przed sobą ustawia zdjęcie siostry w ramce.

„Ola zginęła w wypadku – mówi do kamery.

– Człowiek, który prowadził samochód, nie pomyślał, że jeśli będzie jechał za szybko, to może spowodować wypadek.

Nie pomyślał, że wyprzedzając przy takiej prędkości, może stracić panowanie nad samochodem. (...) Po prostu – nie pomyślał.

Ale przez to, że on nie pomyślał, to (Agacie załamuje się głos) dwie młode osoby straciły życie. Dwie dziewczynki, które dopiero wchodziły, rozpoczynały swoje życie. (...) Apeluje do każdego jednego człowie-

ka, który to widział. Jeżeli wsiadasz w samochód, wkładasz kluczyk w stacyjkę, przekręcasz – myśl”.

Post opublikowała na Facebooku. Wyświetlono go 61 tys. razy, napisano 99 komentarzy.

Wśród opinii były na przykład takie: „Nie wziął pistoletu i nie strzelił komuś w głowę! Każdy z nas łamie przepisy! Nie oznacza to, że jest to premedytacja! Mam nadzieję, że nie zniszczą życia człowiekowi”.

„Ile trzeba mieć w sobie nienawiści, żeby taktycznie, świadomie i z premedytacją niszczyć życie młodego człowieka na starcie dorosłego życia. (...) Wszystkim kierowcom, którzy komentują ten wypadek, zadaję pytanie, czy nigdy nie zdarzyło im się popełnić wykroczenia drogowego?”.

„Sądzi Pani, że dorośli pomyśleli, pozwalając, aby ten młody człowiek wioził dziewczynki, a nie odebrali ich po urodzinach osobiście?”.

„Jak można twierdzić, że on zrobił to umyślnie? Jak można nazywać go mordercą? Czy to jest napad złości czy zemsty, że on żyje, a dwie dziewczynki nie? Tak dla mnie to wygląda”.

## ZABAWA TRWA

Pod sąd przychodzi kilkadziesiąt osób. Bliscy i przyjaciele w koszulkach z nadrukami #Jedzieszmyśl i podobiznami dziewczynek.

Pierwszy raz Agnieszka widzi go na sali sądowej. Chłopak w błękitnej marynarce, z włosami postawionymi na żel. Patrzy jej w oczy. Ze łzami w oczach mówi, że żałuje. Jego płacz Agnieszki nie przekonuje.

Obrońca mówi, że Krystian wypadku nie pamięta, a przyczyną zdarzenia musiały być problemy zdrowotne. Chcą powołania biegłego kardiologa.

Matce drugiej dziewczynki puszczają nerwy. Płacze i krzyczy pod sądem: – I co, gówniarz sobie pójdzie teraz na łody? A mojej córki nie ma?

Policja osłania chłopaka.

Po rozprawie Agnieszka jest wściekła. Zagląda na Instagrama i Facebooka Krystiana. Chce zrozumieć, co to za chłopak.

Widzi zdjęcia z imprez: ręka Krystiana z cygarem, w tle butelki po piwie, pół litra Żubrówki. Filmik: ręce z uniesionymi piwami w dłoni, w tle klubowe oświetlenie.

Albo zdjęcia jak z Tindera: Krystian na siłowni, pozuje przed lustrem.

Zupełnie, jakby mówił: Zabawa trwa.

## CHŁOPAK PRZESTAJE ODDYCHAĆ

Agnieszka czyta opinie biegłych w sprawie Oli, ogląda testy zderzeniowe fiata punto. Chciała zrozumieć jedno: dlaczego on żyje, a one nie?

Myśli: – Niechby Ola była na wózku do końca życia albo pod maszynami, ale żywa. Czemu tak nie mogło być? Albo: czemu ja nie mogłabym być na jej miejscu?

Kalendarz Agnieszki utkany jest groźnymi datami. Koniec roku szkolnego, początek roku szkolnego, urodziny Oli, 5 października – data wypadku, święta, sylwester. Każda taka data może być początkiem pikowania w dół, kilku tygodni rozpacz.

Boi się wejść do galerii handlowej, zrobić zakupy, pójść na siłownię, zarejestrować w urzędzie pracy. Przerazają ją miejsca pełne ludzi. Dziewięć na dziesięć prób wyjścia z domu kończy się pozostaniem w łóżku.

Bardziej jednak od własnego bólu Agnieszkę martwią jej bliscy.

Od wypadku minęły lata, a młodsza córka Justyna ostatnio zadzwoniła o północy, szlochając w słuchawkę: „Mamo, czy na pewno wszystko u ciebie w porządku? Bo znowu miałam koszmar z dnia wypadku, bałam się, że coś ci się stało. Od trzech tygodni spać nie mogę”.

Agata, ta starsza, wyszła niedawno na miasto z partnerem. Myśli, że już może się bawić z przyjaciółmi w sobotni wieczór. Dużo nie wypija, ale wystarczyło. Wróciła do domu, powtarzając tylko dwa zdania: „Ale ona była taka malutka. Mogłam po nią pojechać”.

Te sytuacje sprawiają, że Agnieszka wyobraża sobie najgorsze rzeczy. Z psychologiem wiele razy przepracowała już swoje wizje, jak jedzie pod dom Krystiana, wyciąga go, bije do krwi, aż chłopak przestaje oddychać. Czasami jest tak wściekła, że boi się wychodzić z domu. A jeśli któregoś dnia nie zapanuje nad sobą?

## DROGIE FOTORADARY

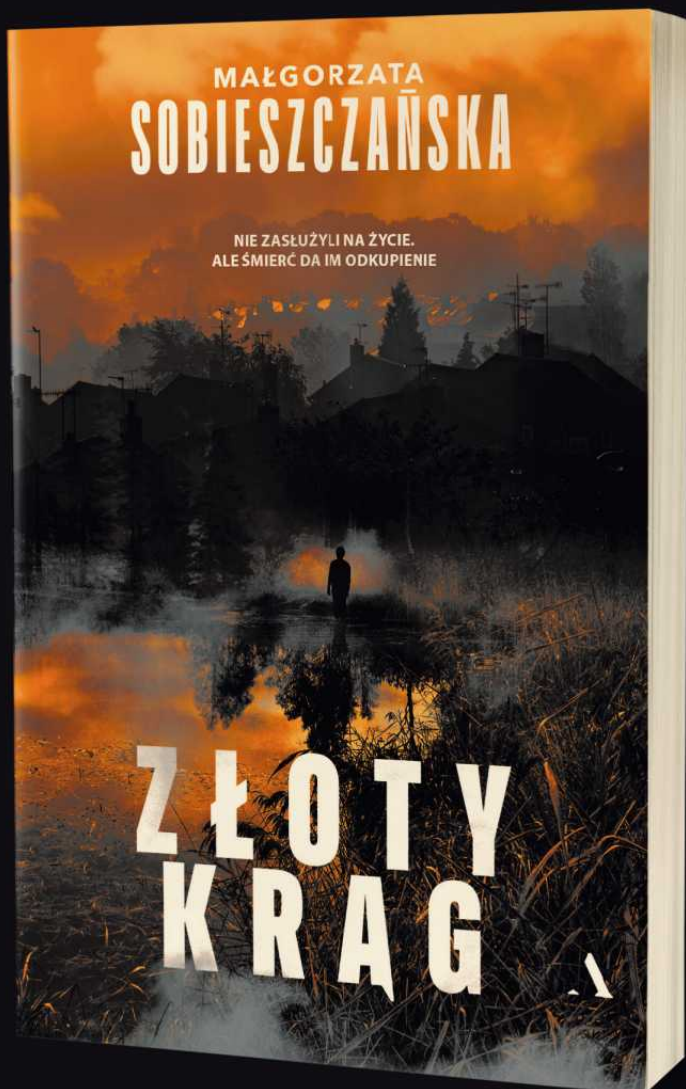
Ulica Jaworzyńska w Legnicy to prosta i długa jezdnia z dwoma pasami ruchu w każdą stronę. To wła-



Cała ta teatralność, śmierć, która przypominała misterium, miała służyć właśnie temu: oni nie zasłużyli na życie. Ale zasłużyli na śmierć, która da im odkupienie win.

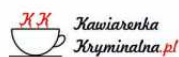
## POSEZONOWA CISZA MAŁYCH MIASTECZEK

JEST BARDZIEJ  
NIEPOKOJĄCA  
NIŻ MOGŁOBY SIĘ  
WYDAWAĆ



JUŻ W KSIĘGARNIACH

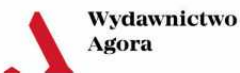
PATRONI MEDIALNI:



DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA



W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA



śnie na takich drogach najczęściej dochodzi do wypadków, bo i najłatwiej się tam rozpędzić. Kierowcy zabijają czterokrotnie więcej pieszych na szerokich drogach w podmiejskich ulicach niż na wąskich uliczkach w centrum.

Po wypadku Oli i Wiki władze miasta zamontowały tam znak z ograniczeniem do 50. Na niewiele się to jednak zdało. Większość kierowców nadal przekracza tam prędkość.

Nic dziwnego. Eksperci udowodnili, że kierowcy na całym świecie nie jeżdżą z prędkością, jaką wyznaczają znaki. Jeżdżą tak szybko, jak pozwala im droga. Budując szerokie miejskie arterie inżynierowie ruchu wysyłają kierowcom jasny sygnał: jest bezpiecznie, możesz cisnąć, gaz do dechy. Rozwiązaniem jest zwężanie dróg. Mózg kierowcy jadącego po węższej drodze będzie mu bowiem wysyłał sygnał przeciwny – zwolnij, tutaj się nie rozpędzisz.

Zwężanie ulic to jednak w Polsce niepopularna decyzja. Włodarze miast boją się narażać na gniew kierowców.

Innym rozwiązaniem byłoby ustawienie fotoradaru. Ale o to w Polsce również trudno. Fotoradary pilnują u nas bezpieczeństwa raptem w 464 miejscach, do tego doliczmy 34 odcinkowe pomiary prędkości. To daje nam 1,6 urządzenia na tysiąc kilometrów kwadratowych. Dla Belgii ten współczynnik wynosi 37, dla Francji – 4, dla Niemiec – 10. Wniosek? Fotoradarów w Polsce powinno być co najmniej trzy razy więcej.

Raport Najwyższej Izby Kontroli pokazał, że część fotoradarów w Polsce jest ustawiona tak, żeby nie wykrywać przekroczenia prędkości mniejszego niż 30 km na godzinę. Gdyby fotoradary działały lepiej, to byłby problem, bo urzędnicy nie mają mocy prerobowych, żeby powystawiać mandaty.

Pieniądzy na nowe urządzenia też notorycznie brakuje. Fotoradar na ulicy Jaworzynskiej w Legnicy nie stanął do dzisiaj.

### WYROK

Sąd w Legnicy skazał Krystiana na trzy lata więzienia i 10 lat zakazu prowadzenia pojazdów. Agnieszka z sądu wychodzi zapłakana, ale zadowolona, że jakiś etap jej życia się skończył.

Myli się.

Dzień po ogłoszeniu wyroku znów zagląda do mediów społecznościowych. Krystian pisze:

„W ostatnim czasie doświadczyłem nietykalnej nobiletacji i dołączyłem do grona ludzi takich jak Bień, Templariusze, Janowski, Św. Paweł, Okulicki, Św. Szczepan czy sam Jezus i zostałem poddany NIESPRAWIEDLIWEMU procesowi. Jest to bardzo przykre lecz każdy medal ma dwie strony i teraz bliżej mi do świętych i wielkich tego świata niż wcześniej... Nie pozostało mi nic innego jak tylko brać z nich przykład i być pewnym swego”.

Justynie, młodszej córce Agnieszki, robi się słabo. Zaczyna wymiotować, a głowa boli ją tak, że matka musi wzywać pogotowie.

W dzień zakończenia roku szkolnego Agnieszka jedzie na cmentarz. Tam odbiera wiadomość o skardze kasacyjnej. Krystian odwołał się od wyroku. Jego adwokat żądał dodatkowych dowodów.

Agnieszka wpada w histerię, zaczyna płakać i krzyczeć. Pomaga dopiero telefon do psychologa. Cmentarz opuszcza z myślą: to się, kurwa, nigdy nie skończy.

### ZUS NIE PATRZY W AKT ZGONU

Agnieszka próbuje wrócić do pracy. Chce wyjść do ludzi, coś ze sobą zrobić, znaleźć cokolwiek, co zmusi ją do wstania z łóżka.

W biurze jednak czuje, że głównie zawadza. Nie chce robić szefom kłopotu. Jaki jest pożytek z pracownika, który każdego dnia walczy ze sobą, żeby w ogóle wstać do roboty?

Z czegoś jednak żyć trzeba, więc z córką zakładają firmę. Agnieszka myśli: minęły prawie dwa lata, dam radę.

Myli się. Kiedy przychodzi skarga kasacyjna, depresja znowu składa ją na długie miesiące.

Prowadzenie firmy stało się w ogóle nieważne. Zapisała w kalendarzu przypomnienia, żeby co miesiąc pamiętać o płatnościach, o tym, żeby zawieźć papiery do księgowej. Kolejne monity i wezwania do złożenia wyjaśnień wypychała w torebkę. Nietowarte koperty z urzędów znajdowała trzy miesiące później. Nie ma siły, żeby coś z tym zrobić.

W końcu Agata potrząsa matką: „Powiedz mi, jak nasze finanse wyglądają!”.

Okazało się, że bardzo źle. Nieopłacony VAT i ZUS, niespłacone kredyty na firmę. Brak płynności finansowej, poblokowane konta, kontrole ze skarbowki, zajęcia komornicze. Bez pomocy córek nie miałyby za co kupić jedzenia. Upadłość konsumencka starej Agnieszce nie mieściłaby się w głowie. Swojego zadłużenia nie spłaci do śmierci.

Najgorszy cios przyszedł z ZUS. Zakład wstrzymał jej wypłatę pieniędzy i pozbawił ubezpieczenia chorobowego. Według urzędników Agnieszka zatrudniła się w pracy tylko po to, żeby wyłudzać świadczenia.

Agnieszka pomyślała, że urzędnicy oszczędziliby sobie i jej kłopotu, gdyby sprawdzili jej kartotekę. Widząc akt zgonu córki, mogliby inaczej ocenić sytuację.

Na dzisiaj nie ma żadnego dochodu, ubezpieczenia ani siły, żeby zarejestrować się w urzędzie pracy.

Ma na szczęście dostęp do fachowej pomocy. Psycholog ze szkoły podszedł do niej na proźbie Oli: „Proszę przyjdź w każdej chwili”.

Spotykają się dwa razy w tygodniu od ponad trzech lat. Agnieszka nie zapłaciła za pomoc ani złotówki. Nie zapłacił też NFZ.

Wszelkie rozmowy z psychologiem o płatnościach kończą się kategorięcną odmową i słowami: – Ola by chciała, żeby pani była w dobrych rękach.

### ZIOBRO NIE POMOŻE

Agnieszka i jej córki nie mogły liczyć na pomoc finansową czy psychologiczną od państwa, bo państwo polskie ofiarami wypadków nieprzesadnie się przejmuje.

– Na jaką pomoc mogą liczyć ofiary i ich rodziny? Na żadną – mówi wprost Janusz Popiel, prezes stowarzyszenia Alter Ego, które pomaga ofiarom drogowych zdarzeń.

Teoretycznie poszkodowani i ich rodziny powinni liczyć na pomoc z Funduszu Sprawiedliwości, który pomaga ofiarom przestępstw. W praktyce jednak środki z funduszu stały się finansowym zapleczem ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, który pieniądze przekierowuje do zaprzyjaźnionych instytucji. Media wielokrotnie opisywały, jak środki z funduszu finansowały np. zakup wozów strażackich, finansowanie kół gospodyń wiejskich czy dziennikarzy redakcji „Do Rzeczy” albo programu Pegasus do inwigilowania. Pieniądzy na ofiary wypadków najwyraźniej zabrakło.

– Nie znam żadnego poszkodowanego, który otrzymałby pomoc z Funduszu – opowiada Janusz Popiel.

Ofiary i ich rodziny mają prawo do odszkodowania wypłacanego z OC sprawcy zdarzenia. Firmy ubezpieczeniowe proponują jednak śmiesznie małe kwoty rzędu 20-30 tys. zł za śmierć bliskiej osoby. By otrzymać prawdziwe odszkodowanie i rentę sięgającą setek tysięcy złotych, należy zaważyć o swoje prawa w sądzie. Do ofiar zgłaszają się kancelarie odszkodowawcze, które oferują „darmową” pomoc, pobierając jednak od ludzi lichwiarską prowizję rzędu 30 proc. wywalzonego odszkodowania. Ofiary, do których trafiają kancelarie, nie mają o tym pojęcia.

Kancelarie dobijały się też do drzwi Agnieszki, i to jeszcze przed pogrzebem Oli. Nachalnych agentów przegoniła.

Wynajęła profesjonalnego prawnika, ale jej sprawa o odszkodowanie wciąż trwa.  
Agnieszka pozostaje wciąż bez środków do życia.

## KRYSTIAN, CZYLI APOLLO

Wieś nad brzegiem jeziora, pomiędzy górami. Tutaj zaszył się Krystian. Razem z ojcem mieszka w odrapanej kamienicy komunalnej. Na spotkanie zapraszają do salki katechetycznej.

Krystian: biały podkoszulek, czarne spodnie modnie postrzępione, włosy na żel, równo przystrzyżona broda. Dobrze zbudowany. Na prawej ręce tatuaż wilka.

Mariusz, ojciec Krystiana, w czarnej podkoszulce, z siwymi włosami i brodą.

Na początku spotkania coś zaczyna trzeszczeć. To ojciec Krystiana potajemnie włącza dyktafon, bez mojej wiedzy chce nagrać naszą rozmowę.

Krystian mówi dużo i szybko. Opowiada, jak przed wypadkiem czas spędzał na siłowni, crossfite albo górskich spacerach. Uwielbiał wrestling. Ćwiczył widowiskowe skoki, obroty i duszenia. Przyjął sceniczny pseudonim Apollo Anderson. Politycznie kibicuje Konfederacji, popiera wolny rynek, nie podoba mu się Strajk Kobiet. Przed wypadkiem zaczął studia na AWF-ie, dorabiał jako kelner.

Całe życie mieszkał na wsiach i w miasteczkach pod Legnicą.

– Cała nasza klasa dojeżdżała do szkoły. Rodzice nas wypychali, żebyśmy jak najszybciej zrobili prawo jazdy, żeby nie musieli nas wozić – opowiada.

Krystian do egzaminu podchodził pięć razy.

W sobotę, gdy zdarzył się wypadek, w pociągu spotkał koleżankę z Legnicy. Zgadali się na wieczór w barze. Pamięta jeszcze spacer z psem i to, jak wsiadał do auta. Potem świadomość wróciła mu w szpitalu.

Mariusz: – Jak Krystian leżał w śpiączce, z żoną i córką poszliśmy na pogrzeby obu dziewczynek. Wokół nas gromadzili się ludzie, pocieszali, ale były też panie, które szeptały, jaki to Krystian jest bandyta, morderca. Na początku pani Agnieszka prosiła, żebyśmy nie zabierali Zuzy ze szkoły. Posłuchaliśmy, ale nie wiem, czy dobrze. Dzieci do córki mówiły: „A czemu twój brat nie siedzi w więzieniu?”. A jak Krystian wyszedł, to powiedziałem do żony: „Zobaczysz, teraz się zacznie”. Za wcześniej wyszedł. I miałem rację.

Krystian opuścił szpital po miesiącu. Zapytał lekarza, kiedy będzie mógł wrócić na siłownię. Doktor krzychał: „Powinien się pan cieszyć, że żyje! To jest cud medyczny!”.

Według Krystiana pół roku po wypadku zaczęła się nagonka.

– W Jaworze wołali za mną: „Zajębałeś dwie dziewczynki!”. Słuchawki na uszy i szedłem dalej. Dostałem z dziesięć wiadomości na Instagramie: morderca, nawet w więzieniu cię znajdziemy.

– Nawet najbliżsi przyjaciele mówili: „Twój syn zabił” – dodaje Mariusz. – Tak w mediach napisa-

li: „Zginęły przez niego dwie dziewczynki, a on dalej imprezował” albo „Za SMS-y zapłacił życiem dwóch dziewczynek”. Po pierwsze sąd ustalił, że SMS-ów nie wysyłał. A po drugie: co innego jest spowodować wypadek, gdzie giną dwie dziewczynki, a co innego kogoś zabić.

Krystian: – Nawet miałem takie myśli, że jakbym zginął, to rodzina miałaby wtedy łatwiej. I tamte rodziny byłyby zadowolone, bo ten, który rzekomo jest winny śmierci ich córek, sam se życie odebrał. No po prostu nie byłoby tego całego rocznego (placze) katorwania się, czy ja jestem winny, czy nie jestem winny. No ale potem im bardziej byłem atakowany, tym bardziej rosło we mnie przekonanie, że to nie może być moja wina.

Syn z ojcem kwestionują zeznania świadków. No bo skąd ludzie mogą wiedzieć, że jechał z wielką prędkością? Jak to zmierzli? Oczami? A może Krystian zasłabł? Mógł mieć tętniaka? Potrzebna jest ekspertyza kardiologa, neurologa! Inaczej nie mamy pewności, co się stało.

– Nawet, jeśli jechał 95 na godz., na prostej drodze dwupasmowej, nawet mokrej, to nie jest jeszcze prędkość, po której się wpada w poślizg! – przekonuje Mariusz. – Nie ma dowodów, jedynym zarzutem pozostaje przekroczenie prędkości.

– Nie przekroczenie, ale niedostosowanie prędkości do warunków na drodze – poprawia ojca Krystian. – Dla każdego bezpieczna prędkość jest inna. Jeśli każdy, kto przekracza prędkość, jest mordercą, to drogówka zamiast mandatów powinna wsadzać ludzi do więzienia.

Rozprawę Krystian wspomina jako „piekło”.

– I jeszcze ten filmik siostrzyczki, gdzie ona powtarza: „On nie pomyślał”. Ja tę mantrę mam w głowie do dziś. No nienawidzę tego. Jakby mi tragicznie zginęła osoba, to nie robiłbym filmików, tylko poszedł płakać nad grobem. Nie próbowałbym się wybić medialnie, nie miałbym zresztą na to pieniędzy. Taka akcja pokazuje, że potrzebowała uwagi. Więzienie dla sprawcy mojej córce życia by nie wróciło.



28 czerwca nakładem wydawnictwa Czarne ukaże się książka Bartosza Józefiaka „Wszyscy tak jeżdżą”

## Liczba ofiar

# 1896

• tyle osób zginęło na polskich drogach w 2022 r.

• Straty spowodowane wypadkami szacowane są na ponad **56 mld zł** rocznie.

Ja matkom wybaczam, ale do siostry mam złość o tę całą akcję.

Mariusz przytakuje synowi: – Ktoś nad tym pracował długo, dał pieniądze na te koszulki, naklejki, gadzety. Jakaś elita miasta pracowała na tę psychozę w Legnicy.

Gdy pytam o konkrety, zaczyna się wycofywać, mówi, że „to tylko domysły”.

– Nie wiem, czy czasami nasza rodzina nie jest w trudniejszej sytuacji niż rodziny dziewczynek. Ja tu nie porównuję tragedii. Porównuję sytuację. Tam się zakończyło coś. I trzeba to przeżyć, przetrwać i tak dalej. U nas trwa bez przerwy. I na nas nikt nie patrzy, a cała nasza czwórka jest na lekach, pod opieką psychologów... Muszą być jakieś granice, bo inaczej to nie jest żaloba, tylko zemsta. Ja osobiście bym inaczej postępował. Po prostu bym się pomodlił. Nie podjąłbym kroków odwetowych. Inny jestem. Dlatego może tak boli. A swoją drogą, to mogły po swoje córki przyjechać. Ja bym po swoją przyjechał.

Krystian nie widzi nic złego w swoich postach w mediach społecznościowych.

– Psychologowie mówili, żeby wrócić do normalności, a normalnością dla nastolatka są social media, imprezy ze znajomymi, zdjęcia. Rodziny dziewczynek mają pretensje, że wróciłem do życia. Najlepiej, jakbym się do grobu położył. Jak nie chciały patrzeć na moje zdjęcia, to przecież nie musiały mnie obserwować.

Mariusz raz poprosił syna, żeby zdjął post: ten o Jezusie. Krystian i tutaj nie widzi nic złego.

– Ten post był robiony na to, żeby rozpętać piekło. I zresztą uważam, że analogia jest poprawna. Proces był niesprawiedliwy? Był. Banda Żydów krzycząca „ukrzyżuj” podczas sądu była? Była. Jak na razie bycie spokojnym, miłym i usuwanie się z drogi spowodowało, że ja idę na trzy lata do więzienia.

Ani Krystian, ani jego ojciec nie widzą powodów, dla których chłopak miałby przeproszać.

– Trzy msze zamówiliśmy w intencji dziewczynki. Co więcej możemy? – dopytuje Mariusz. – Dając i biorąc życia jest Pan Bóg. Poza tym, za co Krystian miałby przeproszać? Za to, że prowadził samochód? Nie wiemy, co się stało, ale jest nam cholernie przykro. Skrucha była. Co jeszcze?

## CZTERY LATA

Sąd drugiej instancji podtrzymał wyrok. Krystian poszedł do więzienia na trzy lata. Obiecał sobie, że ten czas poświęci na czytanie, bo wcześniej miał na to mało czasu.

Od wypadku minęły prawie cztery lata. Rodzina i przyjaciele powtarzają Agnieszce: „Dasz radę, udźwigniesz. Weź się w garść”. Strasznie ją to wkurza. Przecież ona do końca życia już nic nie musi. ●

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione



Anna Kiedrzynek z reporterską  
czułością wprowadza nas  
w świat chorujących, ich  
bliskich, znajomych, sąsiadów.  
I pokazuje, czego najbardziej  
potrzebują osoby  
w kryzysie.

KATARZYNA WŁODKOWSKA

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA [wydajenamsie.pl](http://wydajenamsie.pl)

Wydaje  
nam się

Władza poza świadomością

ODLOTY  
SZEFOWI co się wtedy w panu odpałiło?  
„No jakiś taki buc po prostu”Z CEZARYM ŻECHOWSKIM,  
PSYCHIATRA, PSYCHOTERAPEUTA,  
ROZMAWIA TOMASZ KWAŚNIEWSKI

**Wielu osobom się zdaje, że jak zostają szefem, to z tego tytułu mają mieć tylko lepiej. Bo będą więcej zarabiać, mieć więcej czasu, wpływ, skupić się raczej na tym, co lubią. A mnie się zdaje, że powinni mieć trudniej, bo to, czym teraz będą się zajmować, to przede wszystkim są inni...**

– Problem w tym, że jak ktoś zostaje szefem, to zaczyna realizować swoje potrzeby. A dodatkowy kłopot polega tu na tym, że to jest nieświadome.

**To znaczy?**

– Jak osoba jeszcze nie ma władzy, w sensie, że nie jest szefem, kierownikiem, to na ogół funkcjonując w ramach jakiejś organizacji, firmy, instytucji, kieruje się celami – nazwijmy je społecznymi. Natomiast w momencie, kiedy obejmuje funkcję kierowniczą, zachodzi w niej proces, nad którym nie ma kontroli, ponieważ on jest nieświadomy, a więc dla niej nieczytelny. A polega on na tym, że do głosu dochodzą cele osobiste, i to może być właśnie to, co pan wymienił, że ktoś po prostu chciałby mieć trochę więcej wolnego czasu, trochę więcej pieniędzy. I to jest nieświadome.

Czyli osoba, która zdobyła władzę, cały czas ma wrażenie, że nadal kieruje się wyłącznie tymi celami społecznymi, jest w służbie ideałów, podczas gdy to jej cele osobiste stają się ważniejsze.

**Czyli jej się zdaje, że ona się nie zmieniła?**

– Tak, natomiast się zmienia, ale może nie mieć do tego świadomego dostępu, i z reguły nie ma.

**Pan jest szefem.**

– Zgadza się.

**Od ilu lat?**

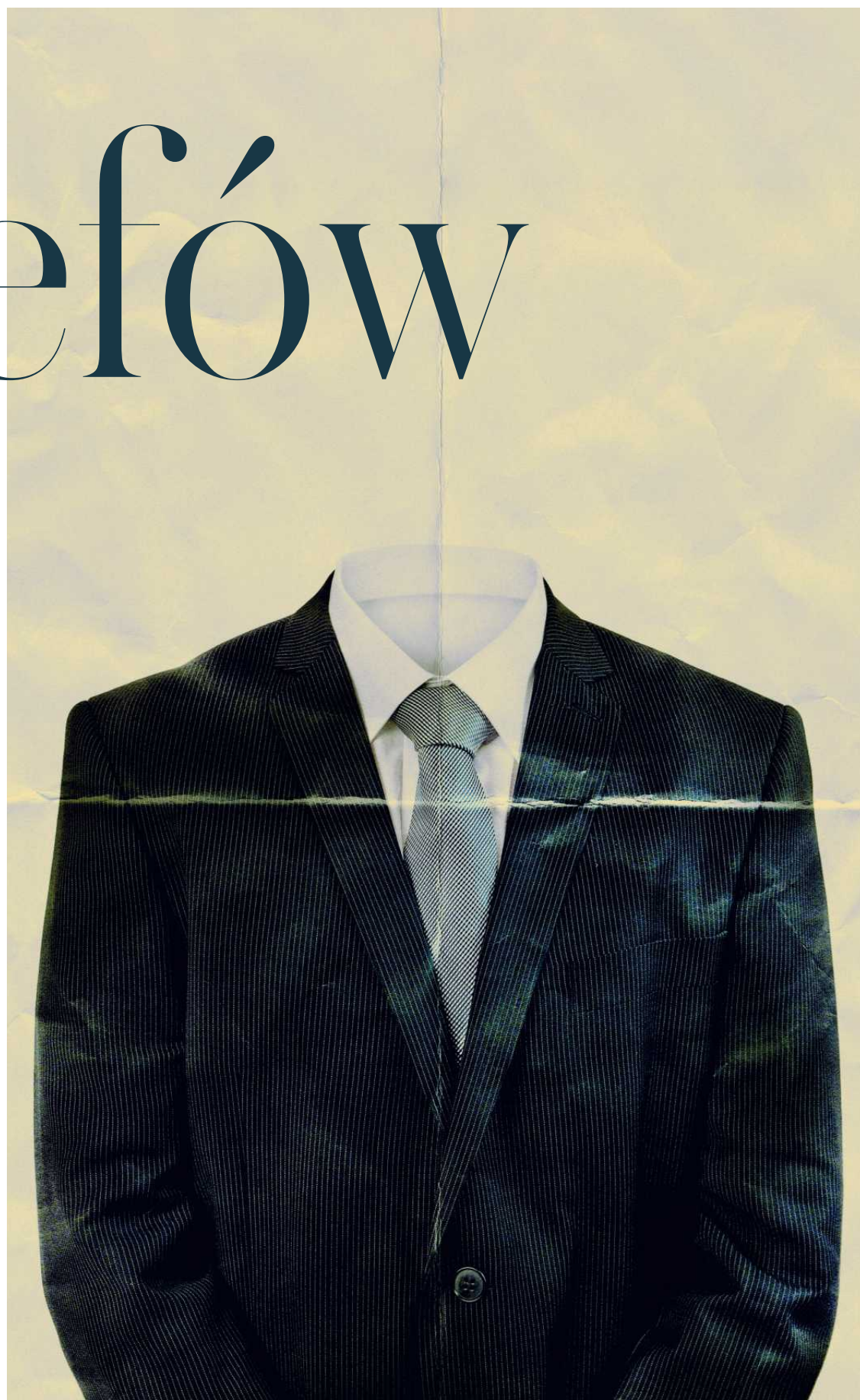
– Ja jestem bardzo młodym szefem. Od trzech.

**I właśnie wtedy pan zaczął się tym interesować?**

– Nie, nie, dużo wcześniej, kiedy ponosiłem straszne porażki jako taki mały szef różnych małych przedsięwzięć.

**Teraz jest pan szefem Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży przy Szpitalu Wolskim w Warszawie. A co to znaczy, że kiedyś był pan małym szefem?**

– Oj, to zdarzało się w Instytucie Psychiatrii, że zastępowałem moich szefów. I akurat tam, przynajmniej tak mi się zdaje, nie było źle. Natomiast potem kierowałem takim malutkim ośrodkiem psychoterapii. To było nieformalne kierownictwo, ale jednak było. No i nie szło mi to zupełnie.



FOT. SEAN GLADWELL / GETTY IMAGES

**Bo?**

– Bo chyba nie doceniałem, a może nawet nadal mi się to zdarza, wartości myślenia poszczególnych osób w zespole. Z tym że akurat wtedy tamten zespół – on był narażony na różne mocne zewnętrzne wpływy, słowem: nie był stabilny, trudno więc było zbudować tam jakąś stałość.

**A konkretniej?**

– Miałem wrażenie, że osoby, które przychodzą do tych zespołów, które wtedy prowadziłem, trafiły tam z bardzo różnymi motywacjami, nie mogliśmy uzgodnić, co jest naszym wspólnym celem. Czy mamy się przyjaźnić, wspierać na zasadzie koleżeństwa, czy też no właśnie mamy jakieś szersze, wspólne zamierzenia. I jeśli tak, to jak je osiągać? Po prostu był problem ze zorganizowaniem tego.

I w pewnym momencie zaczęło mi się zdawać, że to się nie uda, ja się do tego nie nadaję. Też, wie pan, miałem wrażenie, że daję wszystko, co mam najlepszego, a zbieram samą złość. No, ale już nie chcę do tego wracać.

**A jak jest dzisiaj?**

– Mam wrażenie, że już troszeczkę lepiej sobie radzę z kierowaniem, tworzeniem zespołu, aranżowaniem atmosfery współpracy, wspólnego konstruowania pewnego myślenia, tak żeby też inne osoby, które w tym biorą udział, miały poczucie

wolności, swobody itd. Aczkolwiek nie jestem do końca tego pewien.

**Bo?**

– Bo chyba nikt tak do końca nie ma wglądu w to, co robi. Staram się, ale może mi to nie wychodzi.

**Powiedział pan, że jak ktoś zostaje szefem, to odpałają się w nim cele, potrzeby osobiste, co to może być poza tym, co już wymieniliśmy?**

– Na przykład potrzeba narcystyczna. Żeby być osobą ważną, uznawaną za autorytet.

Albo żeby mieć większy wpływ, kontrolę.

To mogą być też cele czysto materialne, żeby się po prostu wzbogacić. Albo seksualne. Są bardzo ciekawe badania amerykańskiej psycholożki Louise F. Fitzgerald nad osobami, które dopuściły się wykorzystania seksualnego, oraz Johna Bargh, psychologa społecznego pracującego na Uniwersytecie Yale, nad molestującymi szefami: trzech na czterech z nich nie rozumie, że dokonało takiego czynu.

To może być też na przykład odwet – ktoś mi dokuczał, to teraz ja mu się odplączę.

Są badacze, na przykład Mark Solms, południowoafrykański psychoanalityk i neuropsycholog, którzy twierdzą, że w momencie sprawowania władzy w sposób specjalny aktywuje się nasza sieć neuronalna. Czasami to się nazywa systemem dominacji społecznej...

## Po prostu jest coś takiego w nas, taka struktura nerwowa?

– Tak, która jest związana z rywalizacją i dążeniem do dominacji. U niektórych osób to jest silniejsze, u innych słabsze. I jeżeli ona się staje aktywna, a w momencie sprawowania władzy ona się bardzo aktywuje, to daje to po pierwsze uczucie przyjemności. A po drugie, i to jest właśnie proces nieświadomy, dochodzi wtedy do przesunięcia w ramach naszej hierarchii wartości.

To działa na tej samej zasadzie jak te inne systemy emocjonalne, które mamy, na przykład gniewu, smutku, opieki czy miłości. Jeżeli któryś z nich się bardzo aktywuje, to wtedy ta nasza struktura wartości się zmienia. Wszystko jest podporządkowane temu jednemu celowi, on rzutuje na całą resztę, wręcz zaburzając nasze realne postrzeganie. I to się właśnie dzieje w sposób dla nas niezauważalny. I to pomimo tego, że zmieniamy się wręcz fizycznie: nasza mimika, manieryzmy, sposób mówienia, funkcjonowania, nasz wizerunek, czyli to, jak się ubieramy, czeszymy itd.

Myślę, że w tej nauce, która nazywa się zarządzaniem, chodzi właśnie o to, żebyśmy się nauczyli odróżniać własne impulsy od celów społecznych, celów instytucji, w których pracujemy, działamy. Bo jeśli ktoś nagle zdobywa władzę, nie ma doświadczenia, to wtedy najczęściej zostaje ogarnięty przez te swoje impulsy, przykładów na to mamy mnóstwo.

## Na przykład?

– Nie chcę wskazywać po nazwisku, ale to są te osoby, które po dojściu do władzy, to w polityce pięknie widać, nagle zostają całkowicie przez te impulsy zdominowane. Impulsy bycia atrakcyjnym, ważnym, bawienia się, szastania pieniędzmi, wpływami itd.

## I to siedzi w każdym z nas, jak zdarza się okazja, to wypływa?

– Tak, różnica jest tylko w stopniu, niektórym jest łatwiej, a niektórym trudniej nad tym zapanować.

## A w sumie dlaczego tak się dzieje?

– Badacze tłumaczą to dosyć archaicznym ewolucyjnym mechanizmem, który jest związany z tym, że jeżeli mamy władzę, to mamy dostęp do zasobów. A w związku z tym, że nieczęsto mamy, trzeba więc korzystać, bo za chwilę ich nie będzie.

## A to, że jednak możemy się temu przeciwstawić?

– To jest osadzone w tej ewolucyjnie najmłodszej części naszego mózgu, a w związku z tym jest dużo bardziej skomplikowane, subtelne, również dużo bardziej podatne na zakłócenia. Mam tu na myśli samoświadomość, zdolność do wglądu, mentalizacji, no różnie możemy to nazwać.

## A ta mentalizacja?

– Ona polega na tym, że mam wgląd we własne motywy i intencje oraz staram się poznać i zrozumieć motywy i intencje innych osób. Co oznacza, że mogę poddać obróbce różne impulsy popędowe, emocjonalne, zobaczyć, co mną tak naprawdę powoduje. Czyli zadać sobie pytanie, co ja robię. Czemu ja to robię? Czego chcę? Jakie mogą być tego skutki? Co to oznacza dla innych? I rzeczywiście, każdy z nas wie, że jeżeli jakiś system emocjonalny się mocno w nas aktywuje, to tracimy zdolność wglądu – jeżeli jesteśmy bardzo zakochani, to jesteśmy bezkrytyczni wobec tej osoby, w której ulokowaliśmy uczucie. Jeżeli tracimy kogoś, to wydaje nam się, że świat się rozpadł, koniec, nic już nie ma sensu i znaczenia.

I tak samo jest w przypadku władzy – istnieje zagrożenie, że jeżeli ktoś po nią sięgnął, to w związku z tym rozum może mu się zakłócić.

## Zwłaszcza że takiej osobie się wydaje, że ma tyle do roboty, jest taka ważna, rozumiem, że to jest częśćka tego myślenia wtedy, widzenia siebie?

– Tak, ten proces, on jest zasilany przez wiele rzeczy, w tym przez takie jakby dwa silniki, które są osadzone w tej relacji między szefem a zespołem – przeważnie zespół postrzega szefa, i słusznie, jako osobę, która ma dostęp do zasobów i je rozdziela. A co za tym idzie ma wpływ na to, kto dostanie więcej, jaką kto będzie miał pozycję. W związku z czym tendencja u członków zespołu jest taka, żeby być dla szefa miłym, starać się mu przypodobać.

Nawet jak się bardzo nie lubi szefa, to się mu okazuje jakieś przyjazne uczucia.

Drugi silnik, bardziej ukryty, to jest zawiść: jaki kiepski jest ten szef, jak fatalnie postępuje, jak źle zarządza itd. I tu jest jeszcze przypisywanie mu mnóstwa najrozmaitszych rzeczy, które raczej są już projekcją własnych doświadczeń z autorytetami w ciągu życia. Zresztą nie tylko doświadczeń, bo też fantazji na temat tych autorytetów.

W związku z tym wszystkim obraz szefa, szefowej jest z jednej strony narażony na fałszywe idealizowanie, a z drugiej na dewaluowanie...

## Przy czym żaden nie jest prawdziwy.

– Właśnie. Ale to idealizowanie, ta taka grzeczność, sympatyczność itd. – ona jest czymś bardzo przyjemnym i utwierdza szefa w tych narcystycznych cechach. Natomiast ta druga jest z kolei bardzo nieprzyjemna, ten szef się przed tym broni. Na różne sposoby, na przykład starając się to w jakiś sposób uprzędzić, wpływając na ten zespół, nim manipulując.

Najczęściej szefowie manipulują zespołem poprzez manipulowanie informacją, w szczególności zaprzestając jej dostarczania albo robiąc to selektywnie. Albo, jak piszą o tym psycholog David Kipnis czy socjolożka Paige L. Sweet, zastępując ją przyjemnością, ewentualnie przykrością, a w zasadzie strachem.

Szef ma też oczywiście inne możliwości manipulacji, na przykład może zaniżyć lub podnosić poziom poczucia wartości poszczególnych członków zespołu. Może też powiedzieć: „Słuchajcie, my wszyscy jesteśmy super, ale ci zza ściany, oni są okropni, oni na nas dybią”. Czyli eksteriorizować te negatywne uczucia.

Pozytywną wiadomością jest to, że jak twierdzą badacze i praktycy, z czasem zespół ma szansę wytworzyć coś, co nazywają refleksyjną krytyką. To znaczy, że są w stanie przedstawić krytyczne opinie szefowi w sposób, który nie jest atakiem, dewaluacją jego osoby, tylko zbiorem sensownych, krytycznych wobec tego, co myśli i robi, argumentów. I teraz jeżeli on ma też taką refleksyjną część w sobie, że może popelniać błędy, i potrafi słuchać tego, co się mówi, tak żeby tego nie słyszeć jako czegoś, co jest przeciwko niemu, to wtedy z reguły zaczyna się fajny dialog.

## A ci szefowie to w pewnym momencie jakoś się orientują, co się z nimi dzieje, czy to cały czas się skrywa w mrokach ich nieświadomości?

– Nie znam tu badań, ale myślę, że z czasem się orientują, zaczynają rozpoznawać to u siebie, a przynajmniej powinni, bo inaczej ta instytucja, firma, partia, organizacja, którą zarządzają, przestaje funkcjonować właściwie.

Jest taki psychoanalityk – nazywa się Otto Kernberg – i on mówił, że żeby rozpoznać, czy taki negatywny proces się dzieje, należy popatrzeć na efektywność danej firmy czy instytucji. Jeżeli ona spada, przy czym chodzi tu o efektywność w szerokim rozumieniu, która również zakłada

*W przypadku władzy istnieje zagrożenie, że jeżeli ktoś po nią sięgnął, to w związku z tym rozum może mu się zakłócić*

jakiś rozwój zespołu, to znaczy, że w tej firmie, organizacji dzieje się jakiś proces, często nieświadomy, który ją dewastuje.

## Ale jak rozumiem, na początku każdy szef raczej nie zauważa tego, co się zaczyna z nim wyprawiać...

– Tak.

## Aż ktoś mu czegoś nie powie, on nie zauważy, że robi coś, czego nigdy wcześniej nie robił?

– Tak, i to się będzie powtarzać, dopóki nie wypracuje sobie mechanizmów, które będą go chroniły przed utratą tego realnego widzenia siebie i świata.

Tu też bardzo ważni są doradcy, osoby otaczające szefa, w tym jego przełożeni, bo szef zwykle też ma jakichś szefów. Słowem: chodzi o to, czy on ma szansę na coś takiego, co w psychiatrii, psychoterapii nazywa się superwizją.

## Ewentualnie czy istnieje jakiś system bezpiecznego zwrotu, który on może dostać od swoich podwładnych?

– Tak, to jest rzecz niezwykle istotna. Takie poczucie bezpieczeństwa, że można o trudnych rzeczach rozmawiać. I tu również obowiązują pewne reguły, które trzeba znać, żeby móc to dobrze zrobić. Przede wszystkim należy wiedzieć, że to też się rozgrywa na poziomie mózgu. Chodzi o to, że my mamy w mózgu dwie sieci neuronalne, które działają na zasadzie: albo-albo. Czyli: albo współpracujemy, albo rywalizujemy. Bardzo trudno jest rywalizować i współpracować jednocześnie – jeżeli aktywuje nam się sieć współpracy, to wtedy tej rywalizacji jest mniej, i odwrotnie, po prostu rywalizacja często się wiąże z wrogością, takim jednak wzajemnym utrudnianiem sobie różnych rzeczy.

## Też z dominacją.

– Właśnie.

I to też musi być w jakiś sposób wypracowane. Chociażby w taki, że możemy się przyglądać, w jaki sposób ze sobą rozmawiamy, i na bieżąco to korygować.

To, co aktywuje rywalizację, jest wyrazem chęci dominacji, to jest na przykład przerywanie drugiej osobie. Czyli jeżeli mamy taką kulturę rozmowy, że każdy może powiedzieć, co myśli. Nie przerywamy sobie. Możemy dokończyć swoje myśli, a jeżeli już nam się wyrwie, przzerwaliśmy komuś, to umiemy przeprosić, powiedzieć, żeby skończył. To wtedy jest zupełnie inna sytuacja, niż kiedy ktoś mówi, a inna osoba wpada mu w pół zdania i zaczyna mówić swoje. Bo ta osoba, która zaczęła przedstawiać swoje poglądy, czuje się wtedy strasznie pominięta, dotknięta, uznana za nieważną...

## Zwłaszcza jeżeli tym, kto przerywa, jest szef.

– Właśnie.

A drugą prostą rzeczą, która bardzo pomaga w kooperacji, tworzeniu atmosfery współpracy, jest to, że nie wypowiadamy sądów ogólnych.

Jeśli ktoś mówi: „Jest tak”, a ktoś inny: „Nie, tak nie jest” – to mamy konflikt. Ale jeżeli te osoby wyrażą to, co chcą, mówiąc w swoim imieniu, jako swoje zdanie, czyli jedna powie: „Ja to widzę tak”, a druga: „Ja to widzę w ten sposób” – to wtedy nie ma konfliktu, tylko coś, co specjaliści od komunikacji, zwłaszcza od takich koncepcji dialogiczności, za Bachtinem, nazywają wielogłosem. Czyli sytuacją, w ramach której, w tym samym momencie mogą współistnieć bardzo różne punkty widzenia.

I jeżeli mamy taką właśnie kulturę pracy, że rzeczywiście mogą współistnieć różne punkty widzenia, i nie szukamy za wszelką cenę jakiegoś tu uśrednienia, tylko przyglądamy się wszystkiemu, a potem myślimy, co z tego możemy wybrać, jak możemy postąpić w danej sytuacji, to wtedy mamy współpracę.

Inaczej będziemy mieli straszne konflikty, walki, rywalizację...

## I myśli pan, że jeśli w firmie, instytucji, organizacji funkcjonują te zasady, to one są w stanie utrzymać tego szefa, który nieświadomie zbacza w stronę swoich osobistych celów, w ryzach?

– Myślę, że jeżeli on przyjmuje, akceptuje, stosuje te zasady, to tak. A druga korzyść z nich jest taka, że jeżeli nawet on ich nie akceptuje i chce narzucić własne, w szczególności że teraz to on ma rację, wszyscy mają myśleć tak jak on, to wtedy natychmiast się to pokaże.

## Powiedział pan wcześniej, że ma pan wrażenie, że dziś jako szef już lepiej sobie radzi, jak pan myśli dlaczego?

– Pierwsza rzecz, bo no właśnie zapoznałem się z tymi dialogicznymi praktykami. Konkretnie, jest taki nurt psychoterapii, który wywodzi się ze Skandynawii, trochę z Norwegii od Toma Andersena, ale przede wszystkim od Jaakko Seikkuli z Finlandii, i polega on, no właśnie, na stosowaniu tych praktyk dialogicznych, przede wszystkim otwartego dialogu.

Otwarty dialog głównie odwołuje się do Bachtina, jego koncepcji polifonii, czyli że mamy zgodę na wielogłos.

**Co w praktyce, rozumiem, wygląda tak, że siadacie i gadacie, każdy może powiedzieć, co chce?**

– Tak, ale też w pewnych granicach, chodzi o to, żeby nie dokuczać innym, nie rywalizować z nimi, nie oceniać, tylko przedstawić swój punkt widzenia: jak ja to widzę. I dobrze by było, gdyby to było do końca szczerze, z tym że właśnie bez tej przykrych rywalizacyjnej części, w sensie, że ja wiem lepiej, to, co twoje, jest kiepskie.

No i wtedy możemy rozmawiać.

To jest bardzo trudne, żeby tak to poprowadzić, gdy jest się szefem, bo istnieje też coś takiego w ludziach jak potrzeba autorytetu, żeby ktoś zdecydował, czegoś nauczył. Jako szef jestem więc pomiędzy tą rolą, że muszę być trochę mentorem, trochę decydem, a trochę też strażnikiem tej bezpiecznej dla wszystkich przestrzeni do wspólnego myślenia.

**I myśli pan, że dziś rzeczywiście już lepiej pan sobie radzi ...**

– Znaczący: w moim poczuciu to na pewno jest lepiej. Ale żeby dokładnie mógł się do tego ustosunkować, musiałbym znać zdanie osób, z którymi pracuję, gdzie one by wyraziły swobodnie, co naprawdę o tym myślą.

**A jeśli chodzi o te nieświadome w panu procesy, to rozumiem, że w pewnym momencie puknął się w pan głowę, powiedział sobie: „Kurde, co ty robisz?” – czy jak to było?**

– Wie pan co, mnie się wydaje, że człowiek się uczy stopniowo. Popelnia pewne błędy, a potem tworzy coś nowego. I to nowe już może tych błędów zawierać mniej, ale czasami jeszcze upada, potem znów tworzy coś nowego itd. I u mnie to chyba był taki proces.

**A konkretniej?**

– Jak myślę o sobie z początku tej pracy tutaj, w Centrum Zdrowia Psychicznego, to trochę się wstydzę siebie z tego czasu. No, bardzo dużo się nauczyłem.

**Bo co się wtedy w panu odpałilo?**

– No jakiś taki buc po prostu.

**Buc?**

– Trochę taki głupkowaty narcyz. Zachwycony sobą i bezkrytyczny.

**Ale „buc” to chyba też znaczy, że niemiły?**

– No, nie dociera do niego.

**A jak pan myśli, dlaczego właśnie tak to z panem było?**

– Bo taki byłem sobą zachwycony.

**Że pan tu szefuje?**

– Tak.

**I jakiej to odpowiadało pana osobistej, wewnętrznej potrzebie?**

– Wie pan, to było tak, jakby pan stał przed lustrem i widział swoją karykaturę. Z tym że to nie była karykatura, tylko wyidealizowany portret. Każdy z nas ma w głowie jakiś swój wyidealizowany obraz. I nagle patrzę w lustro, a tu rzeczywiście widzę to, co mam w głowie. No straszne.

**Czyli był taki moment, że w związku z tym, że został pan szefem, poczuł się pan taki super?**

– Jak taki kwiat, który rozkwitł. Taki słonecznik, prawda, świecący. No koszmar.

**I w związku z tym uniósł pan nos do góry, przestał pan słuchać innych?**

– No może aż tak to nie było, ale jakiś taki narcystyczny wykwit rzeczywiście się pojawił. To znaczy ja nie mogę powiedzieć, żeby on był, bo to chyba ciągle trwa.

**Bo tego się nigdy do końca nie wie?**

– No troszeczkę już się wie. (śmiech)



**To czego pan już nie robi?**

– Na pewno staram się za bardzo nie odrywać od rzeczywistości. Co w praktyce wygląda tak, że poza tym wszystkim, co już panu powiedziałem, zwyczajnie przyjmuję pacjentów, rozmawiam z ich rodzicami, pracuję w poradni.

**Czyli taką normalną robotę pan robi?**

– Tak. Myślę, że robienie normalnej roboty troszeczkę chroni przed takim odlotem, daje właściwą miarę rzeczy, wspaniale sprowadza na ziemię.

**A czy to rzeczywiście jest tak, że jak się jest szefem, to ma się więcej pracy? Pytam, bo zjawisko wcale nierzadkie jest takie, na przykład w służbie zdrowia, że szefowie, osoby z tytułami, nagle jakby uzyskują wolność do robienia mnóstwa innych rzeczy, w szczególności zarabiania pieniędzy w ramach prywatnej praktyki, do czego zresztą służą im te funkcje, tytuły, bo wtedy mogą śrubować stawki?**

– Dotknął tu pan niezwykle istotnej kwestii, a mianowicie powiązania praktyki prywatnej z publiczną służbą zdrowia...

**To po pierwsze...**

– I to jest bardzo ważny temat...

**To prawda, ale w kontekście, w którym rozmawiamy, chciałbym wiedzieć, bo wiele osób mówi, że bycie szefem jest takie obciążające, tymczasem najwyraźniej można to sobie zorganizować tak, że otwiera się możliwość jakby drugiego etatu...**

– U mnie tak nie jest. U mnie to się wiąże z radykalnym zredukowaniem praktyki prywatnej.

Myślę, że jeżeli szef bierze na siebie dużo obowiązków, nazwijmy je codziennymi, to rzeczywiście może być strasznie pracochłonne i umęczyć. A jeżeli umie tę pracę jakoś podzielić, znaleźć balans między tym, co może oddać innym, a co powinien zrobić sam, to jest mu troszeczkę lżej.

Myślę, że ten ciężar główny, to on jest emocjonalny. Dźwignia w sobie pewnych projekcji zespołu, oczekiwań, frustracji, złości. W tym projekcji, które nie wynikają w ogóle stąd, tylko są przyniesione z domu: ktoś widzi w szefie swojego ojca, matkę, jest sfrustrowany, bo w ogóle często jest sfrustrowany w relacjach.

To mogą być oczekiwania, które są trudne do spełnienia, wręcz nierealistyczne. Ale mogą być też uzasadnione, a niemożliwe do spełnienia. Bo tak też bywa.

No i wreszcie jest cała grupa osób, która z tej firmy, organizacji, instytucji jakoś korzysta, którym ona jest poświęcona, w naszym przypadku to są dzieci, młodzież, rodzice itd. No i oni też mają swoje oczekiwania. To wszystko gdzieś się skupia w tym szefie, trzeba jakoś to pomieścić, jednocze-

*Myślę, że robienie normalnej roboty troszeczkę chroni szefa przed takim odlotem, daje właściwą miarę rzeczy, wspaniale sprowadza na ziemię*

śnie wykonując tę swoją pracę, też próbując ten zespół, tę instytucję jakoś rozwijać.

**I co pan robi z tymi wszystkimi rzeczami, które w pana wpadają?**

– Tu ważne są dwie rzeczy. Pierwsza to regularne spotkania całego naszego zespołu, w trakcie których możemy sobie, no właśnie w bezpiecznych warunkach i szczerze, powiedzieć, co myślimy, omówić różne sprawy.

A drugą rzeczą jest superwizja, myślę, że to jest sprawa kluczowa, każdy zespół powinien mieć coś takiego i nasz ją ma, bardzo dużo dobrych rzeczy się tam dzieje, bardzo dużo różnych emocji jest wychwytywanych i przepracowywanych. Nawet niekoniecznie związanych z szefem czy instytucją, choć też, ale również z klientami, w naszym przypadku pacjentami, okazuje się, że bardzo wiele wtedy się wyjaśnia.

**Powiedział pan: niekoniecznie związanych z szefem...**

– Oczywiście, ja jako szef też czasem po nią sięgam. Bardzo cenię sobie to, że ktoś z zewnątrz, kto nie jest członkiem zespołu, a ma duże doświadczenie superwizyjne, pomaga mi zobaczyć to, co mam w głowie, ogarnąć mnie we mnie. Zwłaszcza że dość często wtedy się okazuje, że wielu rzeczy najzwyczajniej w świecie nie widzę, nie rozumiem.

Z tym że ja też nie chciałbym teraz tu takiej swojej idealistycznej wizji pokazać, że kiedyś było źle, a teraz to ja już wszystko przepracowałem, jest świetnie. Bo to nie jest prawda. Absolutnie tak nie jest.

**A pan w ogóle lubi być tym szefem?**

– Bardzo! Bardzo!

**A co pan tak bardzo w tym lubi?**

– Współpracę z ludźmi. Bo ja bardzo lubię współpracować. Uczestniczyć w różnych procesach...

**Oczywiście jako szef?**

– Nie, no w ogóle...

**Ale jako szef zapewne pan czuje, że ma pan większy wpływ.**

– No tak, może ma pan rację.

Tak, lubię w tym to, że czuję, że mam wpływ. W moim przypadku na budowanie tej instytucji. Nadawanie jej kształtu. Bo ja przecież nie będę tu wiecznym szefem.

To, co w ogóle jest plagą, nieszczęściem, przyczyną stagnacji, ja się z tym spotkałem w różnych instytucjach, które przestawały się rozwijać, utykały, i zwłaszcza dotyczy to służby zdrowia, to są ci dożywotni szefowie, którzy rządzą po 20, 30 lat.

To jest katastrofa.

Byłoby więc wspaniale, gdyby tu u nas była kadencyjność. W ogóle jestem za kadencyjnością. Wszędzie. I tak sobie pomyślałem, że najlepiej by było, gdybym jeszcze dwa, trzy, cztery lata był tu szefem, a potem żeby ktoś inny to objął, a ja bym sobie już jakieś inne swoje rzeczy robił.

**No to chyba może pan to zaproponować?**

– Tak, i ja już nawet o tym rozmawiałem z pewnymi osobami.

Ja mam niedługo emeryturę, ja już sobie odliczam.

**To kiedy pan na nią idzie?**

– Za siedem lat.

I na koniec coś jeszcze panu powiem, choć może nie powinienem. Otóż mnie się zdaje, że ludziom odbija nie tylko, gdy zostają szefami, ale też na przykład po zrobieniu habilitacji. To też jest ten moment, kiedy zmieniają się diametralnie. No właśnie do tego stopnia, że zmienia się ich sposób mówienia, gestykulacja, ubiór, zmieniają się też w relacjach. Już są na pozycjach autorytetu, zaczynają się zwracać do niedawno jeszcze równych sobie współpracowników per drogi kolego.

Zresztą to samo zjawisko obserwuję w środowisku psychoterapeutów, kiedy ktoś osiąga jakiś sukces, nagle uważa, że teraz to on już dostał się do tak elitarnego, wybitnego grona, że ci, którzy do niego nie należą, są po prostu słabsi.

Tak więc my wszyscy zawsze i wszędzie jesteśmy na to narażeni. Na jakiś taki narcystyczny stan umysłu, takie zachwycenie się sobą, i w związku z tym uznanie, że to, co jest dobre dla mnie, jest dobre dla wszystkich. ●





• Mur między Meksykiem a USA. Migranci wyciągają ręce po ubrania rozdawane przez wolontariuszy. San Diego, 23 maja 2023 r. FOT. GREGORY BULL / AP

## Otwarta rana na granicy

# TERAZ chodzę na boks

**Ja nie mówię, że nie potrzebujemy murów. Mówię, że one nie działają. A na pewno nie są w stanie zatrzymać wojny**

ZIEWA JUSIONYTÉ, ANTROPOLOŻKA I RATOWNICZKA, ROZMAWIA  
EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ

**Czy w Stanach Zjednoczonych to normalne, że profesorka antropologii tak bardzo angażuje się w badania temat, że zostaje – tak jak pani – strażaczką i jeździ gasić pożary?**

– Nie, wręcz odwrotnie. W środowisku akademickim zaangażowanie w coś innego niż w naukę jest raczej źle widziane. Oczekuje się, że naukowcy będą pisali artykuły i składali wnioski o finansowanie swoich projektów badawczych. Jeśli masz hobby, które jest dla ciebie naprawdę ważne, albo jeśli masz dzieci i poświęcasz im dużo czasu, jesteś odbierana jako niekończąca się naukowczyni albo jako niewystarczająco zmotywowana.

Przez długi czas nie mówiłam kolegom z uniwersytetu, że jestem wolontariuszką w remizie strażackiej. Bałam się plotki, że skoro to robię, to niezbyt serio myślę o karierze akademickiej. Czasem kłamalam, że jestem przeziębiona i dlatego nie mogę przyjść na zajęcia, a w rzeczywistości jechałam na dyżur.

**Kiedy to się zaczęło?**

– Było to podczas badań doktoranckich, które prowadziłam na pograniczu Argentyny, Paragwaju

i Brazylii. Mieszkalam tam w bardzo niestabilnym budynku, w małym miasteczku w dżungli. Którejś nocy zaczęła się straszna burza z piorunami, a ja od dziecka przeraźliwie bałam się pożarów. Nie mogłam spać. Pomyślałam, że w takiej sytuacji najbezpieczniejszym miejscem będzie remiza strażacka. Poszłam tam i zapytałam, czy mogę ukryć się tu do czasu, aż burza minie. Kierownik remisy powiedział coś w stylu: „OK, zostań. Ale może wolisz nam pomóc?”. Zaczęła się wtedy powódź, trzeba było jechać ratować ludzi.

Wsiadłam więc do samochodu straży pożarnej i pojechałam na swoje pierwsze wezwanie.

Tamtej nocy zrozumiałam jedną ważną rzecz: kiedy człowiek boi się czegoś tak bardzo jak ja ognia, to musi swoje myśli skierować gdzieś indziej – wtedy będzie mu łatwiej. Zauważyłam, że kiedy pomagałam ludziom znajdującym się w gorszej sytuacji niż moja, nie czułam strachu. Wtedy postanowiłam zostać wolontariuszką.

**Była pani wysportowana?**

– Zupełnie nie. Pochodzę z artystycznej litewskiej rodziny, w której sportu nie ceniono w ogóle. Na zajęciach z wychowania fizycznego miałam problem, by okrążyć boisko. Kiedy podjęłam decyzję o zostaniu strażaczką, zaczęłam regularnie biegać, robić pompki, podciągać się.

**Tak od razu?**

– Pierwszego dnia robisz jedną pompkę, następnego próbujesz zrobić dwie. Po rozmowach z żołnierzami czy ze sportowcami wiem, że wszystko jest w twojej głowie. Jeśli wiesz, że możesz robić pompki czy biec – będziesz to robił. Jeśli myślisz, że nie dasz rady – to nic z tego. Ja miałam silną motywację. W remizie ćwiczyłam razem z chłopakami. Wiedziałam, że jeśli nie będę wystarczająco silna, by pomóc koledze podczas akcji, ekipa nie będzie mi ufać.

W tych miejscowościach przygranicznych straż pożarna ma do swojej dyspozycji zarówno wozy strażackie, jak i karetki pogotowienia, najpierw więc przydawałam się głównie jako specjalistka pierwszej pomocy, bo miałam skończone podstawowe kursy. Gdy już byłam gotowa, zdałam testy, by zostać licencjonowaną strażaczką. Najtrudniejszy był egzamin na wytrzymałość: trzy mile, czyli prawie pięć kilometrów, marszu przez pustynię z 20-kilogramowym plecakiem w 45 minut – nie szybciej. Mój kolega podczas takiego egzaminu zmarł.

**Miała pani kryzys?**

– Największy podczas ćwiczeń w Massachusetts. Znajduje się tam rodzaj Disneylandu dla strażaków: jeden dom płonie, drugi jest pełen dymu, trzeci się rozpada. Mundur strażacki sam w sobie jest ciężki,

do tego dochodzi jeszcze butla z tlenem, którą zakładasz jak plecak.

Zasłonięto nam oczy i kazano wyciągnąć ofiarę z zadymionej piwnicy. Ta ofiara była niezwykle ciężka. W pewnym momencie pomyślałam, że nie chcę zemdleć przy facetach, którzy będą się później ze mnie śmiać, lepiej więc zdejmę maskę i wyjdę stamtąd. Ale po chwili zmieniłam zdanie. Postanowiłam pokazać, że mogę być strażaczką. Jeśli mnie wywożą potem do szpitala – trudno. Nie poddałam się.

#### I co?

– Udało się. Siedzieliśmy potem z ekipą na dachu budynku i kilku kolegów wymiotowało. Tak ciężkie to było doświadczenie.

**Prowadziła pani badania też na słynnej granicy Meksyku i Stanów Zjednoczonych, gdzie w ramach zbierania materiałów do badań towarzyszyła ratownikom w codziennej pracy. Czy koledzy wiedzieli, że jest pani naukowczynią?**

– Oczywiście, moje badania dotyczyły właśnie perspektywy ratowników. Nazywali mnie „Prof” albo „Doc”. Często uspokajali rannego migranta: „Proszę się nie martwić, jest z nami doktor”. A ja zakłopotana tłumaczyłam, że jestem doktorką nauk humanistycznych.

**Co interesowało panią w tym temacie najbardziej?**

– W jaki sposób militarystyka pogranicza wpływa na życie społeczności lokalnych i zdrowie ludzi. Skupiłam się na ratownikach, bo oni raz, że zazwyczaj są częścią tych przygranicznych społeczności, a dwa, że pierwsi są na miejscu zdarzenia. Spędziłam z nimi rok, a potem wracałam jeszcze na kilka sezonów letnich i na kilka zim.

**Na jakie wezwania jeździliście?**

– Najczęściej udzielaliśmy pomocy rannym migrantom. Na niektórych odcinkach granicy Stanów Zjednoczonych i Meksyku jest mur, a na innych trudna do przejścia pustynia. W miejscach, gdzie jest fizyczna bariera, ludzie najczęściej łamią nogi. Próbują przeskoczyć lub spadają. I od tego, co jest na dole – kamienie, asfalt czy żwir – zależy, jakie mają obrażenia. Niektórzy uderzają głową albo łamią kręgosłup czy szyję i się zabijają na miejscu.

Na pustyni z kolei migranci często dostają udaru słonecznego lub są odwodnieni, bo przez pustynię idzie się kilka dni. Wystarczy, że źle postawi się stopę na kamień i zwichnie się stopę. Przewodnik i grupa mogą zostawić takiego migranta, bo ten nie dotrzyma kroku, spowolni grupę. Łatwo może skończyć się to śmiercią, bo znaleźć drogę na pustyni nie jest proste.

Oficjalnie w ciągu ostatnich 20 lat na granicy z Meksykiem zmarło ok. 8 tys. osób. Tyle szczątków ludzkich znaleziono. Pytanie, ile ciał zniknęło bez śladu.

**Kim są migranci na pograniczu meksykańsko-amerykańskim, którym udzielała pani pomocy?**

– Ludźmi. Nie wszyscy dobrzy, podobnie jak nie wszyscy obywatele naszych państw są wzorowi. Ktoś ma kuzynów pracujących na budowie w Chicago i jedzie do nich, by zarobić na nowy dach. Ktoś ucieka od zorganizowanej grupy przestępczej, która każe mu płacić haracz. Są dawni wojskowi, są rodziny z dziećmi, są członkowie gangów uciekający przed innymi gangami. To nie tylko obywatele Meksyku, to ludzie z całej Ameryki Środkowej.

**Kto najczęściej wzywa pomoc?**

– Straż Graniczna. Migranci boją się dzwonić, bo dla nich my wszyscy, czy to policja, czy ratownicy, jesteśmy przedstawicielami instytucji państwowych, których trzeba unikać.

Na pustyni w niektórych miejscach są tak zwane anteny ratownicze, gdzie migrant może wcisnąć przycisk i wezwać Straż Graniczną. Bo po kilku dniach wędrówki mało kto ma działający telefon komórkowy.

Straż Graniczna dzwoni do nas, kiedy człowiek jest w takim stanie, że trzeba go wieźć do szpitala albo wzywać helikopter, by go tam przetransportować.

**Myślę, że większość obywateli Polski tę granicę zna głównie z filmów o przemyśle narkotyków. Jak wygląda ten słynny mur?**

– Spokojnie, o naszej granicy z Białorusią też za jakiś czas powstaną filmy...

Pierwszy raz zobaczyłam mur na granicy z Meksykiem, gdy byłam na konferencji naukowej w Kalifornii. Na filmach widzimy albo kalifornijską plażę, albo narkotyki i granicę – nigdy razem, prawda? A ja zobaczyłam ścianę, która przecina plażę i wchodzi głęboko do Oceanu Spokojnego. Nie można się do niej zbliżyć, nad głową latają helikoptery. Wszystkie moje



FOT. BARTOSZ FRĄTCZAK

zmysły były wyostrome. Czulałam, że jestem obserwowana i że nie wzbudzałam niepokoju tylko dlatego, że byłam białą kobietą po stronie amerykańskiej.

**Nie czuła się pani bezpiecznie?**

– Urodziłam się w Litwie, kiedy była jeszcze częścią Związku Radzieckiego. Pamiętam z dzieciństwa, że państwo i państwowe instytucje – zwłaszcza te zbrojne – mogą wzbudzać poczucie zagrożenia. Jeden z moich pradziadków w latach 40. XX w. musiał uciekać do USA, dziadek z kolei był prześladowany przez KGB, a mama działała jako wolontariuszka na rzecz odzyskania przez Litwę niepodległości, dostała nawet za to medal.

Pamiętam, jak w latach 90. wracała do domu i mówiła, że trzeba spakować walizki na wypadek, gdyby znów zaczęły się wywózki na Syberię. Zapamiętałam, że państwo może być złe. I choć Litwa odzyskała niepodległość, a ja mieszkam w Stanach Zjednoczonych, które są państwem demokratycznym, podświadomie mam zapisane, że policja czy wojsko to są struktury przemocy – traktujące ludzi różnie, w zależności od tego, jak ci ludzie wyglądają, w jakim języku mówią, w co wierzą. To one wzbudzały we mnie więcej niepokoju niż jacyś drobni handlarze narkotyków, którzy zajmują się na pograniczu swoimi interesami.

**A po stronie meksykańskiej?**

– Ratownicy mogą przekraczać granicę, jadąc na wezwanie. Na mnie ogromne wrażenie zrobiło to, jak inaczej wygląda tam ten sam mur. Jest na nim dużo dzieł sztuki, jest bardzo kolorowy. W niektórych miejscach cały pomalowany na niebiesko zlewa się z niebem. Są tam rzeźby, są napisy w stylu: „My nie chcemy murów”.

No i nikt nie zabrania się do niego zbliżać.

**Wyobraża pani sobie Amerykę bez tej ściany?**

– Tak, bo do niedawna, czyli do początku XX w., Ameryka taka była. Wtedy przez środek miasteczek przygranicznych przeciągnięto drut kolczasty, chcąc zachęcić ludzi, by przechodzili przez przejście graniczne. Innymi słowy, żeby była kontrola nad tym, kto przechodzi i kiedy wraca. Bez problemu dało się do obejść.

Większą barierę zbudowano w 1994 r., kiedy z powodu małych subsydiów na kukurydzę rolnicy nie mogli się utrzymać i zaczęli migrować za pracą na północ Meksyku, gdzie znajdowało się wiele fabryk. Przechodzili też na stronę amerykańską w poszukiwaniu zatrudnienia.

Po zamachu 11 września 2001 r. mur wzmocniono i rozbudowano jeszcze bardziej, tłumacząc, że robi się to po to, aby żaden terrorysta nie przeszedł tędy do Stanów Zjednoczonych. I dotychczas żaden nie przeszedł, choć ciągle tym się straszy ludzi...

**Czy to nie utopia, że może istnieć świat bez murów?**

– Pod koniec zimnej wojny na świecie było kilkanaście murów na granicach, teraz jest ich ponad 70. Dlaczego, skoro weszliśmy w epokę globalizacji, liberalizmu i wydawać by się mogło, że granice nie są nam już potrzebne?

## Ieva Jusionytė

• pochodząca z Litwy antropolożka. Pracująca m.in. na uniwersytetach Harvarda i Browna. Autorka wielokrotnie nagradzanej książki o pograniczu Stanów Zjednoczonych i Meksyku „Threshold: Emergency Responders on the U.S.-Mexico Border”, przetłumaczonej również na język litewski. Certyfikowana ratowniczka medyczna, paramedyczka i strażaczka. Mieszka w Bostonie.

Na pewno mury nie powstały po to, by powstrzymać towary – te jadą w pociągach, ciężarówkach, płyną statkami. Nie chodziło też o pieniądze – te wędrują z banku do banku. I nie o idee, które przemieszczają się za pomocą telewizji i internetu. Powodem ich budowy byli migrujący ludzie.

Mury są po to, by w świecie, w którym pogłębiają się nierówności społeczne, ludzie byli zamknięci tam, gdzie ich praca kosztuje mniej. Oczywiście gdybyśmy teraz zlikwidowali wszelkie bariery, na początku na granicach byłby zwiększony ruch. Ale moim zdaniem później to by się zrównoważyło.

Ci migranci, którzy docierają do Stanów Zjednoczonych, po paru miesiącach mają już stałą pracę i utrzymują się sami. To oznacza, że miejsca pracy są. Może gdyby się rynek zapelniał, nie byłoby tak wielu chętnych do migracji w to miejsce.

**OK, wyobraziłam sobie świat bez murów. A co z bezpieczeństwem?**

– Nie mówię, że nie potrzebujemy murów na granicach, choć oczywiście mogę tak uważać z powodów chociażby moralnych. Podkreślam jednak, że tu nie chodzi o moje osobiste przekonania. Jako naukowiec, która zajmuje się tematem od lat, po prostu wiem, że one nie działają. A na pewno nie są w stanie zatrzymać wojny.

Gdyby Ukraina miała mur z Rosją, to co, Rosja by swoich rakiet nie wystrzeliwała? Natomiast jedno jest pewne: mury kaleczą migrujących ludzi.

**Widzi pani podobieństwa między tamtą granicą a tą naszą z Białorusią?**

– Bardzo dużo. Oba mury powstały, aby zatrzymać migrantów. Też mówiło się, że to jest kwestia bezpieczeństwa. Postawiono je nie po to, żeby ludzie nie przyszli, ale po to, by szli gdzieś indziej. Żeby tak im drogę utrudnić, by zmienili kierunek.

Migranci zawsze są o coś obwiniani, w ten sposób łatwiej jest ich odczłowieczyć. W Stanach mówi się: „Terrorysti i handlarze narkotykami”. W Polsce i na Litwie: „Broń Łukaszenki”.

Ludzie, którzy zdecydowali się na opuszczenie rodzimego miejsca zamieszkania, i tak będą dalej iść. Wybiorą na podróż inną drogę, bardziej ryzykowną, zagrażającą zdrowiu i życiu. Kilka dni przed naszą rozmową w Kalifornii zatonał statek z migrantami. Jak jest trudno drogą lądową, to ludzie płyną przez morza.

Odkąd Litwa zbudowała mur na granicy z Białorusią, chwali się, że zmniejszyła się liczba migrantów, którym udaje się przejść. Nic dziwnego, jest trudniej. Ale my nie wiemy, co się stało z tymi ludźmi? Mamy ich z głowy, a oni może płyną teraz stateczkiem z Turcji do Grecji? Powód ich wędrówki się nie zmienił.

Kiedy budujemy mury, to nie rozwiązujemy problemów, tylko zajmujemy się symptomami. To komunikat o mniej więcej takiej treści: „Dajcie nam więcej czasu, by się zastanowić, co zrobić, bo tak naprawdę nie mamy pojęcia”. Mur jest symptomem słabości państwa.

**A co, jeśli ci wszyscy, którym gorzej, wezmą i przyjdą do nas? Jak się pomieścimy?**

– Powiedzmy sobie jasno: większość ludzi na świecie nigdzie nie chce iść. Jeśli jest to możliwe, chcą zostać tam, gdzie są. Kilka tysięcy osób z jednego państwa afrykańskiego przyjedzie, ale pozostałe miliony zostaną.

Historycznie ludzie zawsze się przemieszczali – kontynenty się zmieniały, klimat się zmieniał, były wojny. Tyle że teraz świat jest podzielony na państwa narodowe i ta wędrówka jest trudniejsza. Ale prześladowania czy kłęski żywiołowe nadal istnieją, ludzie będą więc migrować. Niektórzy mówią: „To tak, jakby otworzyć drzwi swojego domu dla nieznanym”, ale błędne, czy nawet wręcz niebezpieczne, jest utożsamianie państwa z domem. Ziemia państwa, jakkolwiek prowokacyjnie to może zabrzmieć, nie jest naszą własnością. Jest pewnym konstruktem społecznym. Polska i Litwa wprawdzie mają długą historię państwowości, ale przez wieki nie były to państwa narodowe, bo naród jest kategorią dość nową. A taka Łotwa czy Estonia? Ich państwowość kształtowała się dopiero w XX w. Cechą charakterystyczną antropologii jest kwestionowanie tego, co zastałe. Antropolog zdaje sobie sprawę, że nic nie jest dane raz na zawsze. Czym jest państwo? Czemu coś jest akceptowane przez prawo, a coś innego nie?

**Problemem chyba nie jest samo zjawisko migracji, tylko przekraczanie granicy w sposób nielegalny.**

– Rzeczywiście, wiele osób mówi, że migranci łamią prawo. Zwróćmy jednak uwagę, że prawo a sprawiedliwość to zupełnie co innego. Prawo zmienia się

historycznie. 70 lat temu w Stanach Zjednoczonych osoby o ciemnej skórze nie mogły pić wody z tej samej fontanny co mój dziadek. Nie mogły też chodzić do tych samych szkół co biali – i to było zgodne z prawem. Segregacja rasowa była jak najbardziej legalna. Prawa są pewnymi ustaleniami społecznymi i one się zmieniają.

Jestem przekonana, że za 50 lat, kiedy będziemy mówić o migracji i o naszych zarzutach wobec migrujących ludzi, będziemy się gorzko śmiać, bo zdamy sobie sprawę, jak bardzo nasze spojrzenie było ograniczone. Podobnie jak dziś myślimy o tym, że kobiety nie miały kiedyś prawa głosu, choć to było całkowicie zgodne z obowiązującym prawem.

Moim zdaniem, zamiast budować mury, liderzy światowi powinni się spotykać i opracowywać strategię na temat migracji. Widują się, by ustalić, w jaki sposób zaradzić ociepleniu klimatu, prawda? Podobnie muszą się spotykać, by ustalić, co zrobić z nieuchronną migracją ludzi. Musimy myśleć strategicznie.

### **Polska i Litwa mówią, że to, co się dzieje na granicy z Białorusią, nie jest normalną migracją, tylko wojną hybrydową.**

– W pewnym sensie Białoruś działa jak zorganizowana grupa przestępcza – organizuje loty, pomaga przekroczyć granicę Unii Europejskiej, ma w tym swoje cele polityczne i finansowe. Nie oznacza to jednak, że ludzie, których do tego wykorzystuje, mają intencję destabilizowania naszych państw. Tak, oni są wykorzystywani jako narzędzia, ale nazywając to wojną hybrydową, nie możemy nagle zapomnieć o naszych zobowiązaniach międzynarodowych.

Każdy człowiek, który z jakiegoś powodu decyduje się na migrację, robi to w najdogodniejszy dla siebie sposób. A jego prawo do poproszenia o azyl musi być absolutne.

### **Czy na granicy z Meksykiem jest to możliwe?**

– To zależy, z jakiego jest się kraju. Na przykład od czasów pandemii nie są przyjmowane wnioski od obywateli Meksyku, Gwatemali, Salwadoru czy Hondurasu. Teoretycznie o azyl można poprosić tylko na przejściach granicznych, ale jeśli jesteś z Ukrainy czy Iraku – możesz to zrobić w dowolnym miejscu.

Żeby złożyć wniosek w punkcie kontroli, trzeba mieć smartfon z odpowiednią aplikacją, trzeba się wcześniej zarejestrować i czekać na swoją kolej. Czas oczekiwania może trwać miesiąc, a przed pandemią – „aż pandemia się skończy”, czyli ponad trzy lata. Tyle że gdy się już uda złożyć, nie ma się żadnej pewności, co stanie się dalej. Rodziny raczej nie zamkną w ośrodku strzeżonym, ale dorosłego mogą. Ktoś dostanie nadajnik na nogę, kogoś puszcza wolno i tylko każą co jakiś czas się meldować. Wszystko zależy od tego, w jakim to będzie mieście i na jakiego sędziego się trafi.

Trzeba też dodać, że na przykład migranci z Gwatemali czy Wenezueli są łapani przez meksykańską Straż Graniczną, która próbuje ich deportować. W jednym z ośrodków, w którym byli przetrzymywani tacy migranci, niedawno wybuchł pożar. Nikt ich nawet nie próbował ratować. Są nagrania, na których widzimy, jak strażnicy wychodzą, a tamtych zostawiają zamkniętych na klucz. Teraz po obu stronach granicy trwają protesty, ale wątpię, czy coś się zmieni.

### **A co z tymi, którzy nie zamierzają prosić o ochronę międzynarodową?**

– Ci idą przez pustynię i mają nadzieję, że jakoś to będzie. W większości po prostu godzą się na to, że będą w USA nielegalnie pracować i wysyłać pieniądze.

### **Napisała pani książkę na temat tej granicy. Wraca tam jeszcze pani?**

– Tak, ale już wyłącznie jako paramedyczka. Przeszkadzało mi, że będąc ratowniczką w karetce, nie mogę postawić kroplówki, dać leków na arytmie serca czy intubować. W międzyczasie ukończyłam więc kursy paramedyczne, które trwały 1,5 roku.

Nie jestem już wolontariuszką w remizie. W ciągu ostatnich lat wiele razy się przenosiłam. W pewnym momencie zrozumiałam, że jeśli nie mogę pozwolić sobie na spędzenie choć kilku dyżurów w tygodniu w remizie, to wychodzę z wprawy i w sytuacji trudnej mogę popełnić błąd. Poza tym wspólnota strażaków potrzebuje czasu, by powstały relacje, braterstwo. Robiłam to trzy razy w trzech różnych remizach i chyba już nie mam sił, by zaczynać od nowa. Od kilku lat jeżdżę natomiast latem jako wolontariuszka do kliniki po stronie meksykańskiej.

### **Co to za miejsce?**

– Trafiają tam migranci, którzy dopiero mają zamiar przekroczyć granicę.

### **Mówi im pani, jakie to niebezpieczne?**

– Mówię, ale oni to i tak wiedzą. Niektórzy są w drodze od kilku miesięcy, pokonali Kanał Panamski. Przyszli tu na przykład z Ekwadoru, Brazylii, Wenezueli. Wśród nich są też osoby z Azji i Afryki. To ludzie, którzy widzieli już wszystko i wiedzą, o co prosić. Proszą głównie o lekarstwa przeciwzapalne i przeciwbólowe. Opatruję pęcherze na ich stopach, daję elektrolity. Kobiety często mają ze sobą środki antykoncepcyjne, bo w czasie migracji wiele z nich jest gwałconych. Niektórzy próbują prosić o azyl, ale nie wszyscy mają powody, by o to się ubiegać. Tym, którzy mają zamiar iść przez pustynię, mówię, ile wody muszą mieć ze sobą. A oni przecież wiedzą, że nie dadzą rady tyle nieść.

W ubiegłym roku spotkałam młodą rodzinę, w drodze od kilku miesięcy. Kobieta była w zaawansowanej ciąży, miała opuchnięte nogi i bardzo wysokie ciśnienie. Była w stanie, który zagrażał życiu zarówno jej, jak i dziecka. W normalnych warunkach powiedziałabym jej, że te pozostałe kilka miesięcy do porodu powinna wyłącznie odpoczywać i jak najmniej się zamartwiać. A oni postanowili jednak próbować przejść. Czasem myślę o nich i mam nadzieję, że może im się udało...

Dosyć często spotykam tam też kobiety z małymi dziećmi albo ludźmi starszych. Wielu jest takich, którzy mieszkali nielegalnie w Stanach przez 20, 30 lat, aż popełnili jakieś wykroczenie drogowe. Policja, kiedy sprawdza taką osobę, od razu widzi, że ten człowiek nie ma pozwolenia na życie, i go deportuje. Ci starsi ludzie nie byli w Meksyku od kilkudziesięciu lat, często mają problemy zdrowotne, a i tak chcą wrócić do USA. Są gotowi iść przez pustynię.

### **Do kliniki po stronie meksykańskiej przychodzą migranci, którzy będą próbować przekroczyć granicę nielegalnie. Czy Staż Graniczna obu państw coś robi z tą wiedzą?**

– W niektórych miejscach na północy Meksyku są plakaty i ulotki mówiące o tym, że przekraczanie granicy jest niebezpieczne. Są billboardy z napisami „Nie ryzykuj życia”. Ale ta klinika i podobne kliniki czy schroniska dla migrantów są prowadzone głównie przez Kościoły i organizacje religijne. Ani funkcjonariusze meksykańscy, ani tym bardziej amerykańscy nie wtrącają się w to, co tam się dzieje. Z USA przyjeżdżają wolontariusze, by świadczyć tak jak ja pomoc medyczną albo prawną.

### **Prawną?**

– Tak. Migranci są uczeni, co mają robić, jeśli spotkają pograniczników, albo raczej jeśli doświadczą przemocy z ich strony. Mówi się im, że ważne jest zapamiętanie imienia takiego funkcjonariusza, bo potem na taką osobę można złożyć skargę.

### **Z jaką przemocą spotykają się migranci na szlaku?**

– Czasem są kopani czy bici, zanim Straż Graniczna wsadzi ich do samochodu. Niektórym Straż Graniczna odmawia wody i jedzenia. Oczywiście nie mówię o wszystkich funkcjonariuszach. Istnieją też tacy, co się uśmiechną i wręczą dziecku czekoladę.

### **Jak pani myśli, z czego to wynika, że strażnik nie daje wody człowiekowi pojmianemu na pustyni?**

– Miałam niewiele rozmów ze strażnikami. Ale zauważyłam, że zazwyczaj są nimi bardzo patriotycznie nastawieni Amerykanie, którzy szczerze chcą bronić kraj przed zagrożeniami. W trakcie szkoleń są uczeni, że z Meksyku mogą próbować przedrzeć się terroryści albo członkowie karteli narkotykowych. Daje im się broń właśnie po to, by mogli odeprzeć te zagrożenia. Ale ich codzienność potem była zupełnie inna. Spotykają matki z małymi dziećmi albo zwykłych ludzi, którzy uciekają od przemocy

czy idą szukać lepszego życia. Funkcjonariusze nie są pracownikami socjalnymi i nie posiadają umiejętności oceny takiego człowieka. To nie są też pielęgniarze, to są formacje zbrojne. Może niektórzy z nich nie umieją dojrzeć zwykłego człowieka w migrancie. Inni może są przemęczeni i znużeni tym, że muszą łapać tych prostych ludzi, a woleliby schwytać handlarzy narkotyków. Straż Graniczna to nie jest agencja przystosowana do pracy z migrantami.

### **A czy mieszkańcy przygranicznych miejscowości pomagają przybyszom?**

– To zależy. Ta granica ma ok. 3 tys. km. Są ludzie, którzy dzwonią po Straż Graniczną, jak tylko zobaczą migranta. Ale są też tacy, którzy ugotują zupę, dadzą wody i powiedzą: „Szczęśliwej drogi!”.

Przy granicy działa też sporo organizacji pozarządowych. Jedne specjalizują się w dostarczaniu wody na pustynię i ustawiają tam ogromne cysterny. Inne zostawiają jedzenie w puszkach czy butelki z wodą.

### **Czy ich działalność nie jest kryminalizowana?**

– Jest. Są na przykład oskarżani o zaśmiecanie terenu. Natomiast największym przestępstwem byłoby, gdyby wolontariusz wziął migranta do swojego samochodu. Wtedy łatwo można zostać oskarżonym o przemyt ludzi. Chyba że migrant jest ranny – wtedy jest szansa, że wolontariuszowi uda się wytłumaczyć i wykręcić od zarzutów karnych.

### **A w jaki sposób sami ratownicy traktują tych ludzi?**

– Jeśli chodzi o udzielanie pomocy, zawsze jest na najwyższym poziomie, ale jeśli chodzi o stosunek osobisty – to już zależy, z jakiej miejscowości pochodzą. Ja najwięcej czasu spędziłam w Nogales, mieście na samej granicy, gdzie 90 proc. obywateli mówi po hiszpańsku. Większość z nich ma rodzinę po obu stronach granicy. Ci ratownicy traktują migrantów jak swoich braci czy swoje siostry. Ale wystarczy, że oddalimy się od muru o kilkadziesiąt kilometrów, gdzie mieszka już niewielu Amerykanów pochodzenia meksykańskiego – tam podejście bywa inne, pełne stereotypów. Niektórzy ratownicy nigdy nie byli w Meksyku, bo się boją, czasem rzucają jakiś rasistowski komentarz. Ale to wszystko już po opatrzeniu pacjenta, między sobą.

### **Mają pracę obciążającą psychicznie.**

– Tak, ratownicy i strażacy często mają syndrom stresu pourazowego albo depresję. Najtrudniejsze są wezwania do mocno poranionych dzieci albo ich śmierć. W chwili wezwania nie ma miejsca na emocje, bo musisz działać. Myślenie włącza się nieraz tej samej nocy, czasami po tygodniu, po miesiącu. Nie miałam depresji, ale głęboki smutek.

### **Dlaczego wraca tam pani jako wolontariuszka?**

– Nie wiem, jak miałabym nie wracać.

Problemy, które widziałam podczas badań, nie skończyły się po napisaniu książki. Ludzie dalej wędrują. Pogranicze jest otwartą raną.

Dlaczego miałabym nie wykorzystać swoich umiejętności, żeby pomóc ludziom, którzy znaleźli się w tak trudnej sytuacji?

### **Czyli jest pani przykładem na to, że aby zrobić niesamowitą karierę naukową, można od czasu do czasu wyjść z biblioteki.**

– Wyjechałam do Stanów z zamiarem studiowania antropologii przez rok, nigdy nie miałam planu zostać profesorką na najlepszych uniwersytetach świata. Myślę, że wbrew pozorom pomogło mi to, że miałam styczność z życiem pozaakademickim. Spotykałam ludzi w miejscach wielkich nieszcześć, miałam wsparcie wspólnoty strażaków, których mimo tego, że często mieli inne poglądy polityczne czy filozofię życiową niż ja, łączył taki sam cel: pomóc innemu. Może to doświadczenie pomogło mi nie postawić życia tylko na jedną kartę, tę akademicką.

### **Kiedy przyznała się pani kolegom, że jeździ w karetce i samochodzie strażackim?**

– Gdy wyszła moja książka. Dostałam na nią grant od poważanej instytucji, czyli Narodowej Fundacji Nauki. To niejako uwiarygodniło moje wybory. Ale moje przypuszczenia się sprawdziły. Przyjęto to godnie, ale nikt nie mówił: „Wow, ale fajnie, że masz takie hobby!”.

### **W dalszym ciągu ćwiczy pani intensywnie?**

– Moja najnowsza praca naukowa jest o broni, więc stwierdziłam, że jeśli ktoś będzie mi nią groził, muszę się nauczyć bronić. Przez trzy lata chodziłam na krav magę. To najbardziej efektywna sztuka samoobrony, ale też najbardziej brutalna. Nabawiłam się sporo kontuzji. Teraz chodzę na boks, bo jest bezpieczniejszy – ćwiczę przecież w rękawicach. ●

*Zauważyłam, że kiedy pomagałam  
ludziom znajdującym się w gorszej  
sytuacji niż moja, nie czułam strachu.*

*Wtedy postanowiłam  
zostać wolontariuszką*

Na Islandii

# Polacy

## WIĘKSZE DIABŁY

**Islandczycy nie mogli uwierzyć. „Nie, to nie może być prawda. Mój kuzyn na pewno tego nie robi”**

Dla Alicji Gibowicz przydomowy ogródek to prywatne solarium z leżakiem w centrum. Uwielbia godzinami wylegiwać się w słońcu. – Kiedy w czerwcu były upały, to jak tylko wracałam z pracy, od razu w bikini i sru na patio – mówi ze śmiechem.

Ona – niewysoka, wygadana blondynka, w trakcie rozmowy co chwila biegnie do kuchni: „Dziewczyny, zaparzyć wam jeszcze kawki? A może teraz herbaty?”.

On – przez cały czas w czapce z daszkiem z wyhaftowanym napisem „New York”, korekcyjnych awiatorach, z intonacją i gestami niczym z hiphopowych klipów.

Praca, z której obecnie wraca Alicja, to Vínbúðin w Reykjanesbær – sieciowy sklep z alkoholem i papierosami. Państwowe przedsiębiorstwo monopolowe powstało w 1961 roku. Znanie jest z zaporowych cen (stąd liczne prośby do przylatujących – choćby na facebookowej grupie Polacy na Islandii – o zakupy w sklepie bezcłowym) oraz krótkich godzin otwarcia: Vínbúðin w stolicy czynny jest od 11:00 do 18:00, tylko w piątki do 19:00. Dla Polaka, przyzwyczajonego do wszechobecných całodobowych monopolu, to obraza boska.

Ale Alicja jest zadowolona. I dumna: – Przede mną nikt z naszych nie złożył podania do Vínbuda.

Albert: – I to się odbiło wręcz echem w społeczności. Alicja: – Ale najpierw musiałam odejść z kuchni na lotnisku. Za pierwszym razem poszłam na rok do securitasa. To ochrona na lotnisku i pomoc w doprowadzaniu osób starszych, niepełnosprawnych, niepełnoletnich. Ale to był niewypał. Pieniądze i godziny do dupy. Musiałam więc wrócić do kuchni i zagryźć zęby, bo mi na każdym kroku dopiekali: „Taka byłaś fajna, taka hej do przodu, i co? Znow na tackach stoisz!”. Głównie Polki, ale i paru Islandczyków. Byłam wściekła: „Ja wam jeszcze pokażę!”, myślałam. I składałam CV wszędzie, byle było blisko.

Albert: – Ale drugi wyskok w górę ci się udał, kochanie. I teraz świetnie sobie radzisz. Teraz Polacy mówią: „To jest ta Polka z Vínbuda”. Jak ostatnio byliśmy na stand-upie w Kefie, tak się mówi na Keflavík, występowała jedna Polka, Karolina. Cała polska ekipa siedziała w knajpie, gadała, śmiała się. A stand-uperka żartem: „Wy tam: pani z Vínbuda i Albert polityk się nie odzywajcie!”. Ludzie nas rozpoznają, bo



dostaliśmy się gdzieś tam dalej, wyżej. Tam, gdzie Polaka normalnie się nie widzi. Ale te drzwi otworzyły się tylko dzięki językowi islandzkiemu.

Alicja: – Nieraz mnie pytają: „Co ty zrobiłaś, że dostałaś się do pracy w Vínbudzie?”. No kurwa, kłęknełam i loda zrobiłam – prychna gniewnie. – Poszłam normalnie z CV. Nie wysłałam, bo lubię załatwiać sprawy face to face. I od lutego jestem zatrudniona na stałe. Jak zaczęłam pracować w Vínbudzie, trzy moje superwajorki z securitasa codziennie po kolei przychodziły, żeby sprawdzić, czy Alicja na pewno tam pracuje, że to nie plotka.

W lotniskowej kuchni byłam dziesięć lat, po drodze miałam jeszcze trochę zawirowań, w międzyczasie pracowałam przy sprzątaniu samolotów: Air Berlin, Lufthansa, Delta ze Stanów... Praca bardzo ciężka, nie polecam. Są tranzyty, czyli szybkie sprzątanie, i są upiory, czyli sprzątasz jeden samolot dwie-trzy godziny: okienka, ze szmatką stolicek, wiecie, o co chodzi. I to robiłam przez dwa lata, ale to była tragedia. Najbardziej nie odpowiadały mi godziny. Trzy godziny pracy, potem dwie wolnego, i znowu praca. Cały dzień rozbity. Albo telefon o 3:00 w nocy i wezwanie.

Muszę tu pochwalić mojego męża, bo to dzięki niemu udało mi się zmienić pracę. Trzy lata wiercił mi dziurę w brzuchu o ten islandzki. Miałam już w głowie sporo słów, ale bałam się mówić. Nie lubię fuszerki, nie chciałam popełnić błędu. Więc on specjalnie do znajomych Islandczyków dzwonił i gadał z nimi po islandzku, żeby mi się osłuchiwała. Miałam rozumieć, o czym jest rozmowa. Jezus, nienawidziłam go.

### Z JĘZYKAMI TO JAKAŚ PARANOJA

Alicja urodziła się w Łodzi, Albert – w Suwałkach. Oboje są na Islandii od wiosny 2006 roku.

Alicja: – Moje pierwsze słowa po wylądowaniu? „O, kurwa! Jestem na Księżycu!”. Jak Boga kocham, to były moje pierwsze słowa. Masakra!

Najpierw przez ponad rok mieszkaliśmy w hotelu, tu niedaleko. Na dole była rybiarnia, na górze polkoje. Wyglądało to strasznie. Jak się wchodziło do

środku na górę po schodkach, smród był niesamowity. Nie do opisanego. Kto tego nie przeżył, ten nie wie. Pokój wielkości łazienki, może żdżebko większy. W tym „Marriottcie”: wspólna kuchnia, wspólna łazienka, ale nawet nie będę jej opisywać, bo to woła o pomstę do nieba.

Albert: – W rybiarni, nad którą mieszkała Ala, pracowałam przez pierwsze dwa miesiące na Islandii. I nawet się nie spotkaliśmy. Poznaliśmy się dopiero później, w 2009 roku. Ala była najlepszą przyjaciółką mojej byleję.

Alicja: – Nie odbiłam! Nie odbiłam!

Albert: – Spotkaliśmy się, jak byliśmy singlami. I jakoś tak klikło. Pracowałam w tej rybiarni. Dziewczyny wykladały świeże filety do boksu, my zarzucały łopata sół, kolejny poziom ryby, na to kolejna warstwa soli. I tak przez cały dzień. Dziennie przetrucaliśmy szesnaście ton soli na rybę.

Przez pierwsze lata na Islandii miałem szesnaście miejsc pracy. Wszystkie legalne. Najciekawsze? Stawianie domków letniskowych na północy wyspy i mieszkanie w nich przez lato. Byłam tłumaczem dla ekipy stolarzy i cieśli z Polski. Znam islandzki, polski, kilka innych języków. Dostałam dobrą radę od właściciela mieszkania, które wynajmowałam, Islandczyka, kapitana straży przybrzeżnej: „Nauczysz się islandzkiego, to będziesz wolny w tym kraju. Będziesz mógł robić, co chcesz”. I powiem wam szczerze: odkąd zacząłem odzywać się po islandzku, nigdy nie miałem do czynienia z rasizmem czy niechęcią. Nigdy nie odmówiono mi pomocy w tym kraju. Ludzie dzwonią do mnie: „Albert, nie mogę kredytu załatwić”. „Jak to nie możesz?”, pytam. „Widzimy się jutro pod bankiem o 12:00”. I po południu on ma ten kredyt, bo ja mówię po islandzku. Niemal pieniądze zarobiłem tutaj na tłumaczeniu. Polacy mogliby sobie świetnie radzić, przecież jesteście obrotnym narodem: mamy krzepę, mamy łeb i niczego się nie boimy. Tylko z tymi językami to jakaś paranoja.

Alicja: – To prawda. Ostatnio przyszedł do mnie do kasy starszy Islandczyk i mówi: „Wiesz, to niesamowite. Ty naprawdę dobrze mówisz po islandzku. Moja żona, Polka, jest na Islandii dziewiętnaście lat i nie mówi ani słowa”. „To jak wy się dogadujecie?”,



PHOTO: SHUTTERSTOCK

pytam. A on: „Trochę po angielsku, trochę po polsku, a tak to nie rozmawiamy”.

## KANDYDAT

Albert: – Z ciekawych spraw: ostatnio były wybory do Rady Miasta Reykjanesbaer. Zostałem zaproszony do wzięcia w nich udziału. Byłem szósty na liście.

Alicja: – Bez kitu, no!

Albert: – Poczta pantoflowa poszła po Islandczykach i zadzwonił do mnie przedstawiciel partii Frjálst Afl.

– Prawica? Lewica? – dopytujemy.

– Raczej centralna. Chcemy po prostu pomóc każdemu, komu damy radę, bez pierdzielenia, i postarać się załatwić hajs: żeby był, a nie, żeby tylko gadać o tym, że trzeba go załatwić. Zostałem przyjęty do tej partii. Moja mordka była na plakatach w mieście, fajnie było. Z obcokrajowców mamy też Jasię Crnac, Chorwatkę, ale ja byłem pierwszym Polakiem, który brał udział w wyborach w Reykjanesbaer. Satysfakcja jest.

Pytamy o szczegóły kampanii.

Alicja: – Zrobiłam ogłoszenie na Fejsie, ale powiem wam, że był kiepski odzew. Polacy są zawistni. Wicie, jakich komentarzy się nazytałam na grupie Polacy na Islandii? Ja tu piszę, że głosujcie, żeby Albert pomógł nam, Polakom, to się nazytałam: „Co? Następny chce się kasy nachapać?”. Wprost pisałam: „Oby ci się nie udało”, „Mam nadzieję, że ci się nie uda”. Jak Boga Kocham. Ile ja osób poblokowałam.

Albert: – Najwięcej cwaniaczka jest ze strony Polaków. Jesteśmy tutaj największą grupą imigrantów, więc i odsetek cwaniaczków też jest większy. Ale Filipińczycy, choć to druga największa grupa, nie robią takich machlojek jak z my. Polacy większe diabły.

– Jesteście zadowoleni z życia na Islandii?

Alicja: – Bardzo.

Albert: – Nie znalazłem lepszego kraju na świecie. Powrotu do Polski nie planujemy. Po pięćdziesiątce zamierzam być premierem tego kraju. I to nie jest żart. To nie jest aż tak trudne, jak myślicie. Wy-

starczy tylko dostać się do odpowiedniego islandzkiego klanu i tam mieć swoje wtyki.

## WRÓG PUBLICZNY NUMER JEDEN

Paweł Wąsowicz, na Islandii od 2012 roku

– Pochodzę z Czeladzi. Przyroda pociągała mnie od dziecka. Miałem mikroskop, oglądałem pod nim pierwotniaki z pobliskiego jeziora. Lata mijaly, zainteresowanie nie słabło, więc poszedłem na botanikę na Wydziale Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W 2010 roku obroniłem tam doktorat. Rok wcześniej zamieniłem Śląsk na stolicę, oboje z Ewą, moją żoną, pracowaliśmy na warszawskich uniwersytetach. Ewa też jest biologką, jej dziedzina to aerobiologia, czyli to, co żyje i unosi się w powietrzu: różne mikroorganizmy, pyłki. Wydawało nam się, że ścieżki naszych karier są już raz na zawsze wytyczone. Podobnie jak życie: praca, dzieci i tak dalej. Wszystko w Polsce. Emigracji w planach nie było.

Ale w 2011 roku profesor Adam Rostański, mój promotor, przysłał mi maila z wiadomością, że Islandzki Instytut Historii Naturalnej szuka botanika. Wzruszyłem ramionami, zaśmiałem się, bo Islandia wydawała mi się kompletnymi rubieżami i zapomniałem o sprawie. Ale nie żona. Ostatniego dnia składania wniosków spytała, czy się zgłosiłem. Trudno było się wykręcić, zwłaszcza że CV miałem gotowe. Wystarczyło tylko napisać krótki list motywacyjny: „Jestem botanikiem i wykładowcą akademickim, ale nie lubię uczyć. Chciałbym zajmować się wyłącznie pracą naukową”. Po paru miesiącach przyszła odpowiedź, że jestem w finałowej dziesiątce (w sumie zgłosiło się trzydzieści dziewięć osób z całego świata). Niedługo potem kolejna wiadomość: zostało tylko trzech kandydatów. I wtedy zacząłem się bać. Przeprowadzka wyrzuciłaby nam życie do góry nogami! Ale kiedy przyszło zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną do Reykjavíku, polecałem. Usłyszałem, że Instytut czeka na moją decyzję. Powiedziałem „tak”.

– Byłeś sensacją? Twoim kolegą, islandzkim naukowcom, Polacy pewnie kojarzyli się głównie z budowlanką.

– Nie wiem, czy byłem sensacją, zostałem bardzo dobrze przyjęty. Od początku otrzymywałem wsparcie w każdej możliwej kwestii, zaczynając od zorganizowania i opłacenia przeprowadzki z Polski.

Polecałem na Islandię. Nasze rzeczy jeszcze nie dotarły, więc Instytut wynajął mi pokój w pensjonacie. Potem pomógł znaleźć mieszkanie do wynajęcia: ładne, czteropokojowe. Wtedy dołączyły do mnie Ewa z Marysią. Marysia miała wtedy sześć miesięcy. Ewa zawsze planowała dłuższą opiekę nad dziećmi, nie chciała łączyć jej z pracą. Dzięki Islandii to się udało: ja pracowałem, ona była w domu z córeczką. Nie wiem, czy w Polsce byłoby to możliwe, względy finansowe pewnie by nie pozwoliły. Tu bez problemu. O nic nie musiałem się martwić, nawet gdy urodziła się nam druga córka, Helenka. Ewa zaczęła pracę (też w Islandzkim Instytucie Historii Naturalnej) dopiero w 2018 roku, gdy Hela miała trzy lata, a Marysia chodziła już do szkoły. Helenka nawet wtedy nie poszła do przedszkola. Dzięki temu, że mamy elastyczny czas pracy, mogliśmy wymieniać się opieką. To kolejna zaleta Islandii: praca jest tu przyjazna dla rodziców.

Gdy przenieśliśmy się na Islandię, myśleliśmy, że to tylko na jakiś czas. Że trochę tu pobędziemy, zbierzemy doświadczenia i wrócimy. Długo nie od razu zrezygnowaliśmy z etatów na uczelniach, wzięliśmy bezpłatny urlop. Potem zobaczyliśmy, jak dobrze się tu czujemy, jak spokojnie się tu żyje, bez korków, hałasu, za to z czystą wodą i powietrzem. Dlaczego więc to zmieniać?

Gabinet Wąsowicza w Islandzkim Instytucie Historii Naturalnej to typowa siedziba naukowca: szafki i regały pełne książek, lekkiego surrealizmu nadaje wypchane kozłatko wciśnięte na górną półkę – pozostałość po zbiorach dawnego Muzeum Historii Naturalnej. Z okien pracowni widać centrum Akureyri i fiord, po drugiej stronie – masyw góry Súllur.

Paweł siedzi za biurkiem. W kraciastej koszuli i dżinsach, pogodny, zrelaksowany. Tegoroczne wakacje spędził z żoną i córkami w Polsce. Trzy tygodnie na południu kraju: wycieczki po górach, zwiedzanie... No i słońce. Grzało i smażyło niczym w Grecji, chwiliami nawet oni, mieszkańcy zimnej Północy, mieli dość upałów. Globalne ocieplenie widać też na Islandii.

– Rzeczywiście, lodowce topią się szybko. Vatnajökull, największy z nich, jeszcze sto lat temu kończył się głęboko w morzu. Dziś między nim a wybrzeżem biegnie „jedyńka”, szosa okrążająca wyspę.



Albert:

*Chcemy pomóc każdemu,  
komu damy radę, bez pierdzielenia,  
i postarać się załatwić hajs:  
żeby był, a nie, żeby tylko gadać  
o tym, że trzeba go załatwić*

Zmiany w pokrywie roślinnej to długi proces. Na Islandii mamy około czterystu gatunków flory, co w porównaniu z Polską, z jej trzema i pół tysiącami, wypada blado, ale nie ma nudy. Tutejsza roślinność przystosowana jest do klimatu podbiegunowego. Średnia temperatura w lipcu, najcieplejszym miesiącu, to niespełna dziesięć stopni Celsjusza. Globalne ocieplenie postępuje tak szybko, że rośliny nie nadążają z dostosowywaniem się do zmian. Są jednak i takie gatunki, które świetnie odnajdują się w zmieniającym się klimacie. Jednym z nich jest sosna wydmowa. Kilkadziesiąt lat temu sprowadzono ją tutaj z Ameryki Północnej, by przywrócić lasy, wycięte dawno temu przez pierwszych wikingich osadników. W latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych nie czuła się tu zbyt dobrze, bo było za zimno. Teraz zaczyna się masowo rozsiewać.

– To przecież dobrze.

– Właśnie, że nie! Rozprzestrzenia się w takim tempie, że stała się gatunkiem inwazyjnym.

– Jak ten słynny lubin alaskański.

– Właśnie. Też został sprowadzony z Ameryki, też w słusznej sprawie. Sadzono go, by powstrzymać erozję gleby, która również była skutkiem działań człowieka. Bo najpierw wikingowie wyrąbali lasy, a potem, gdy przybyło ludzi (a z nimi owiec), zwierzęta wygryzły wielkie polacie roślinności. Lekka wulkaniczna gleba, pozbawiona tej pokrywy, zaczęła wietrzeć. Ratunkiem miał być lubin. Niestety, lubin, jako roślina motylkowata, poprzez bakterie korzeniowe wiąże azot z atmosfery. W ten sposób użyźnia ziemię. Problem w tym, że na Północy żyją głównie rośliny lubiące gleby ubogie w azot. Rodzime gatunki zaczęły więc zanikać, a lubin bez przeszkód podbija Islandię. Z sosną jest jeszcze gorzej. Będzie siała o wiele większe spustoszenie.

– O ładnej choince mówisz jak o jakimś potworze.

– Bo to prawda. Kryzys klimatyczny to jedno, ale mierzymy się też z gigantycznym kryzysem bioróżnorodności. Bioróżnorodność polega na tym, że w różnych częściach świata mamy różne gatunki: ciepłolubne, zimnolubne, zasadolubne... dostosowane do konkretnych warunków i siebie nawzajem.

Gdy zaczniemy ingerować w ten dobrze funkcjonujący układ i wprowadzimy nowy, inwazyjny gatunek, zakłócimy równowagę. Sosna wydmowa wśród flory Islandii nie ma konkurencji. Zagłuszy wszystko. Za dwieście czy trzysta lat nie zostanie tu nic poza lasem sosnowym, czyli zieloną pustynią. W 2021 roku robiliśmy badania wpływu sosny na tutejszą bioróżnorodność. Okazało się, że jest dewastująca! Dlaczego? Na Islandii mamy tundrę z roślinami światłolubnymi, na każdym metrze kwadratowym rośnie dwadzieścia-trzydzieści gatunków. I na to wkracza sosna. Na początku nic się nie dzieje, ale drzewo rośnie, rośnie... aż zaczyna zasłaniać światło. Do tego zakwasza glebę, bo ciągle spadają igły, których nikt nie je. I wiecie, ile w tym miejscu zostaje gatunków roślin? Dwa! To największa światowa pomyłka, że lasy mogą nas uratować.

– Chyba przesadzasz. Przecież lasy pochłaniają CO<sub>2</sub>.

– Oczywiście. Ale powinno się je sadzić tam, gdzie kiedyś rosły. Odpowiednie gatunki w odpowiednich miejscach. Tu powinna być to rodzima brzoza, nie amerykańska sosna. Tylko że brzoza się nie oplaca, bo wolniej rośnie, a leśnicy chcą mieć z lasu pieniądze. Sosny, które rosną szybko i gęsto, zostaną potem wycięte na drewno.

W Polsce jest teraz problem z obumieraniem świerków: w Karpatach robi się dla nich za ciepło. Zostały posadzone w XIX wieku z tych samych powodów: naturalne lasy bukowe i mieszane zamieniono



Fragment książki Aleksandry Kozłowskiej i Mirelli Wąsowicz „Islandia i Polacy. Historie tych, którzy nie bali się zaryzykować”, która ukaże się 12 lipca w wydawnictwie Znak Literanova

na świerczyny, żeby szybko rosły, dawały dużo drewna i by można było na nich zarobić. Tak samo będzie tutaj z sosną. Ponieważ o tym mówię, jestem wrogiem publicznym numer jeden tutejszego leśnictwa.

## DYREKTOR NIE JEST BOGIEM

– Jak człowiekowi z Polski, hołubiącej hierarchiczność, układa się współpraca z Islandczykami?

– Bardzo dobrze. Słyszałem relacje innych imigrantów o poniżaniu, lekceważeniu. Ja nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Być może dlatego, że naukowcy to inny świat. Nikt nie mówił, że przyjechałem tu odbierać innym pracę. Zarabiam tyle co Islandczyk. Na początku przeżyłem szok kulturowy, gdy odkryłem panującą tu równość. Brak tej całej drabiny, dystansu, poczucia, że ty ze swojego małego świata próbujesz przekazać coś do wyższej sfery.

Wszyscy funkcjonują na tych samych zasadach. I panie, które sprzątają, i naukowcy. Dyrektor też nie jest żadnym bogiem. Tu wszyscy zwracają się do siebie po imieniu, taki jest ogólnie przyjęty zwyczaj.

– A słynny skandynawski chłód w podejściu do ludzi?

– Islandczycy są nienachalni. Nie przepytują, nie drążą. „A co robi twoja mama?”, „A gdzie mieszkales?”, „Czym się zajmowałeś?”. Wystarczy im to, co sam chcę powiedzieć. W Instytucie nie spotkałem się też z nikim, kto byłby nieprzyjemny, nerwowy, kto swoje frustracje przelewałby na innych. Takie zachowanie jest tu nie do pomysłenia.

– Ale za to podobno my, Polacy, wynosimy ze szkoły szerszą wiedzę ogólną.

– Myślę, że to prawda. Faktycznie mamy, a przynajmniej mieliśmy, szersze horyzonty. Z tego, co zaobserwowałem, wydaje mi się, że mam trochę więcej wiadomości z wiedzy ogólnej niż moi koledzy na Islandii. Zawdzięczam to głównie liceum i studiom. Moje córki chodzą tu do szkoły i widzę różnice w systemach edukacji. Przeżyliśmy z Ewą szok, gdy przyszliśmy zapisać Marysię do pierwszej klasy. Nauczycielka powiedziała, że jej celem jest, by wszyscy dobrze się tu czuli i odnosili do siebie z szacunkiem. Żeby nauczyli się odpowiedzialności. Na koniec dodała: nauczymy się też czytać, pisać, liczyć. Myślę, że w Polsce nauczyciel wymieniliby te umiejętności w odwrotnej kolejności.

## PODŻEGACZKA

Anna Marjankowska, na Islandii od 2016 roku

Ma dwadzieścia siedem lat, delikatną twarz i żar w oczach. To ona współorganizowała ten strajk – największy na Islandii od trzydziestu lat.

– Strajk trwał trzy tygodnie. Zaczął się wielkim wyjściem z miejsc pracy. To był najpiękniejszy Dzień Kobiet, w jakim uczestniczyłam! – Aktywistka uśmiecha się na samo wspomnienie. – W proteście wzięło udział około trzech tysięcy pracowników: kierowcy autobusów miejskich i turystycznych, a także pracownicy housekeepingu w kilkunastu największych hotelach w Reykjavíku. Skupiliśmy się na „małych zatrzymaniach pracy”, na przykład housekeeperki sprzątały w hotelach wszystko oprócz toalety, i na pikietach, które zapewniły widzialność w przestrzeni publicznej.

Hotel może przez tydzień funkcjonować bez menadżera, może działać bez recepcji, ale pół dnia nie wytrzyma bez pokojówki. Wysłaliśmy przekaz: „Doceniam naszą pracę, zauważ ją. Zobacz, jak to jest, gdy jej nie wykonamy”.

Kierowcy autobusów zaczęli strajk dzień później. Ich protest też polegał na „małych zakłóceniach”. W godzinach szczytu maszerowali, zakłócając ruch przy węzłach komunikacyjnych. W transporcie publicznym część kierowców jest zatrud-

niona przez miasto, a część przez prywatną firmę, w której zarabia się o trzydzieści procent mniej niż w spółce miejskiej. Domagaliśmy się zrównania tych plac i ta walka niestety trwa nadal.

Na Islandii każdy należy do związku zawodowego. Ponad dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa trafia do związku z automatu. W Polsce to zaledwie pięć procent pracowników.

Największym związkiem zawodowym jest VR, który zrzesza sprzedawców i menadżerów. Może w nim być zarówno osoba z Puffin Shopu (sklepu z pamiątkami), jak i niższy rangą menadżer czy programista. Do VR należy około czterdzieści tysięcy osób. My, czyli Efling, jesteśmy drugim pod względem liczebności związkiem: mamy około trzydziestu tysięcy członków. Latem dużo więcej, bo przyjeżdżają robotnicy sezonowi. Jeśli przyjeżdżasz tu i podejmiesz pracę w restauracji, barze czy hotelu, jesteś w Eflingu. Połowa tego związku to migranci.

Anna niszczy nasze wyobrażenia o islandzkiej równości:

– Każdy, kto pracuje w gastronomii czy hotelarstwie, jest narażony na kradzież wypłaty, na kiepskie warunki pracy, na mobbing. Wyobraź sobie, że przychodzisz do któregoś z barów w centrum Reykjavíku, do pracy w kuchni. Pracodawca proponuje ci tysiąc osiemset koron na godzinę, to będzie twoja stała stawka godzinowa. Zgadzasz się i cieszysz, bo w Polsce tyle nie zarobisz. Tymczasem okazuje się, że za godziny popołudniowe powinnaś dostać trzydzieści trzy procent więcej, za nocne czterdzieści pięć procent więcej, a w święta dziewięćdziesiąt procent więcej!

Prawo pracy jest słabe, kontrola też. Pracodawcy wykorzystują niewiedzę pracowników, czasem też tworzą taką atmosferę, że nie sposób się sprzeciwić. Szczególnie narażeni są na to ludzie, którzy nie mówią po islandzku ani po angielsku. Każdego miesiąca szefowie będą ci zabierać część wypłaty: tu obetną za dwie godziny, tam za trzy. A pracownik nie ma przecież czasu, by sprawdzać paski wypłat wypisane po islandzku, monitorować liczbę przepracowanych godzin i odpowiednią zapłatę.

Zaczęłam interesować się islandzkim prawem pracy, obowiązującymi stawkami i podobnymi sprawami. Próbowałam rozmawiać o tym ze współpracownikami, ale jak trafić do facetów, w większości Islandczyków? Przecież nie będą słuchali jakiejś młodej Polki. Zostałam reprezentantką związku zawodowego w miejscu pracy, żeby nie mogli mnie legalnie zwolnić, i zabrałam kolegów do związku. Zorganizowałam dwa spotkania z doradcą, starszym Islandczykiem. Przedstawił im, jaka jest sytuacja: „Powinności dostawać tyle i tyle, a dostajecie czterdzieści procent za mało”. Na to zerwał się szef kuchni: „Ja go zabiję! Jak mi nie zapłaci, rezygnuję!”. I rzeczywiście, niedługo po tym spotkaniu dwóch szefów kuchni się zwolniło. Pozostali już pierwszego dnia następnego miesiąca dostali więcej, wcześniej zarabiali minimalną.

A ja cieszyłam się, że nabieram doświadczenia. Do tego ze związkiem napisaliśmy taki pozew, że ho! Sprawa ciągnie się od ponad roku.

Niedługo potem narodowa telewizja RÚV nagrała ze mną rozmowę o warunkach pracy w gastronomii. Islandczycy nie mogli uwierzyć, że prawa pracownicze są łamane w prawie każdej restauracji. „Nie, to nie może być prawda. Mój kuzyn na pewno tego nie robi”. Materiał sprawił jednak, że ruszyła fala kontroli i niemal wszędzie znaleziono nieprawidłowości.

Po moim wejściu do zarządu Eflingu mieliśmy bardzo dużo szkoleń na temat łamania prawa w różnych miejscach pracy, a także handlu ludźmi, bo Islandia też nie jest od tego wolna. W publicznej telewizji pokazano reportaże o współczesnym niewolnictwie, o warunkach pracy na farmach, o zaniżonych płacach. W społeczeństwie zaszumiało, ale nie na długo. W końcu ucichło. ●

# Nie głosujcie na PiS, czyli dyplomacja Jackiego Wrighta

Orliński



**Ciekaw jestem, jak te słowa się zastarzeją, ale wydaje mi się, że jedno można powiedzieć na temat wyników jesiennych wyborów.** Podział miejsc w Sejmie będzie zbliżony do 231/229, a w Senacie do 51/49.

Jeden z obozów politycznych wygra nieznacznie większością i na tej podstawie, tak jak to się dzieje od ośmiu lat, uzna siebie za wyłącznego przedstawiciela suwerena. Pytanie tylko, czy to znowu będzie PiS, czy może dla odmiany wreszcie anty-PiS.

Tak jak w Stanach o wyniku wyborów decydują swing voters, czyli wyborcy niezdecydowani. A więc nie ja, bo ja jestem hardcorowym ultrasem lewicy, a dokładniej partii Razem.

Jako ultras będę wierny swojej drużynie czy to w ekstraklasie, czy to w lidze okręgowej – a więc mój głos w pewnym sensie nie ma znaczenia (tzn. nikt o niego nie musi zabiegać).

Być może jednak czyta mnie ktoś z tych paruset tysięcy wyborców niezdecydowanych. Jeśli choć jedną osobę uda mi się przekonać, żeby nie głosowała na PiS – uznam to za sukces.

Doskonale rozumiem pisowców, którzy nie chcą głosować na anty-PiS – bo ich za bardzo wkurza ten czy tamten polityk. Ja też uważam, że lewicy przydałaby się specjalna operacja dedyduchizacyjna, a wybory do Senatu to dla mnie zazwyczaj głos na mniejsze zło.

Ale ja nie próbuję teraz namówić do głosowania na anty-PiS – tylko do niegłosowania na PiS. Wystarczy mi, że kogoś przekonam do oddania głosu nieważnego, absencji, wszystko jedno.

Zacznijmy od polityki międzynarodowej. W najbliższych latach czekają nas poważne zmiany funkcjonowania ONZ, Unii Europejskiej, NATO itp. Pełna lista i charakter zmian zależą oczywiście od ostatecznego wyniku wojny.

Te zmiany to ogromna szansa na wzmocnienie roli Polski – i zarazem zagrożenie, bo jeśli zmarnujemy tę szansę, ktoś inny się wzmocni naszym kosztem. Od czasu Piastów historia Polski to nieprawdopodobny ciąg zmarnowanych okazji i zaprzepaszczonego zwycięstw (do licha, przecież my już mieliśmy Królewic w garści, ale król Zygmunt się zlitował nad siostrzeńcem i niechętnie stworzył państwo pruskie).

PiS w polityce międzynarodowej sobie nie radzi. Zgodzą się tu ze mną chyba nawet zwolennicy tej partii, choć oczywiście nie powiedzą tego na głos.

Zapytam ich więc czysto retorycznie: czy PiS udało się na tym polu cokolwiek? Obiecywali wprowadzenie wraka tupolewa, zablo-

kowanie Nord Stream, urządzenie w Polsce amerykańskiej bazy (miała się nazywać „Ford Trump”, pamiętacie to jeszcze?), reparacje od Niemców...

Nie wyszło z tego nic. Absolutne zero. Minus dwieście siedemdziesiąt trzy Celsjusze. Null koma Zbigniew.

Bartoszewski po prostu miał trochę racji, mówiąc o „dyplomatołkach”. Zilustruję to na przykładzie reparacji.

Z prawnego punktu widzenia Niemcy nie muszą, wywiązały się ze zobowiązań traktatowych, i cześć. W dyplomacji zobowiązania moralne mają jednak znaczenie, dąłoby się więc teoretycznie wyobrazić scenariusz, w którym można by coś ugrać (tak jak to zrobił Izrael).

Wymagaloby to budowy szerokiego frontu sojuszników. Gdyby polskie żądania poparli przywódcy wszystkich państw dawnej koalicji antyhitlerowskiej z Izraelem na czele, Niemcy od razu by zmienili ton.

Tylko że wszystkich potencjalnych sojuszników pisowska dyplomacja już zdążyła poobrazić. Holendrów za to, Francuzów za tamto, Czechów za siamanto.

Pisowska Polska nie ma przyjaciół. Putinowska agresja wpełchnęła Ukrainę w nasze objęcia, ale przeciw im też prawica najchętniej by w kółko wypominała Wołyń.

Spełniając wisielenką na tym skwaśniałym torcie są konflikty z Amerykanami. PiS co jakiś czas wymyśla ustawę godzącą w interesy amerykańskich korporacji – po czym w ambasadzie USA rozlega się tupnięcie, a na Nowogrodzkiej ogłaszają odwrot.

Tak było z podatkiem cyfrowym (pamiętacie to jeszcze?), tak było z „lex TVN”, tak zapewne teraz będzie z „lex Tusk”. PiS nazywa to wstawianiem z kolan – doprawdy, nic tego nie ilustrowało lepiej od tego zdjęcia, na którym Trump siedzi, a Duda stoi. No faktycznie: jednak nie kłęcz, co za sukces.

W polityce zagranicznej PiS ciągle musi rozwiązywać problemy, które sam stworzył. Konflikty z Czechami można było uniknąć przez dyplomację – ale najpierw pisowcy odmawiali negocjacji, a potem ku swojemu zaskoczeniu przegrali w sądzie.

Niczym Portugalczyk Osculati z Kabaretu Starszych Panów Morawiecki zapewnia, że „ne zapłati”. W pewnym sensie mówi prawdę, bo te wszystkie poprzegrywane przez PiS procesy będą zmartwieniem następnego rządu.

W telewizyjnym show Beny’ego Hilla występowała pamiętna postać drugoplanowa: Jackie Wright (1904-89), niewysoki, łysy staruszek. Regularnie powtarzał się gag, w którym Wright zaczyna do gospodarza podsłakiwać (dosłownie), a ten wykorzystując różnicę wzrostu, robi mu klepu-klepu w łysinę.

Tak bym podsumował całokształt dorobku ośmiu lat pisowskiej dyplomacji. Nie możemy sobie pozwolić na następne takie cztery. ●

**Wojciech Orliński**

## Baju, baju, będziesz w raju

Anderman



**Mowa, którą palnął ostatnio abp Jędraszewski, ubogaciła nas na cały rok, jeśli nie lepiej.**

Wytrawny ten mówca odniósł się do marszu w Warszawie, który odbył się w rocznicę wyborów sprzed 34 lat. „Nie idziemy, drodzy siostry i bracia, z zaciśniętymi pięściami, z pełnymi nienawiści, wulgarności i pogardy słowami na ustach, skierowanymi przeciwko naszym braciom, Polakom. Mamy, jeśli nie ręce, to na pewno serca wzniesione ku Bogu, śpiewając procesyjną pieśń”. To święta prawda, że zaciśnięte pięści i słowa pełne nienawiści są temu człowiekowi całkowicie obce. Jeśli coś mówi, to słodko: „Czerwona zaraza po naszej ziemi na szczęście nie chodzi. Co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie marksistowska i bolszewicka, ale zrodzona z tego samego ducha – neomarksistowska. Nie czerwona, ale tęczowa”.

Nasza ziemia naszą ziemią, ale z jaką – jak mawia Patryk Jaki – hatakumbą mamy do czynienia w pełnym zgnilizny świecie? Po tym straszliwym piekle abp Jędraszewski także z zapalem kiedyś oprowadzał: „Patrząc na obecną sytuację kulturową Zachodu, odnosi się wrażenie, że coraz bardziej przesuwamy się w stronę smugi cienia. [...] Tam, gdzie nie ma światła ani ciemności, gdzie wszystko pozbawione jest kształtu i wyrazu. Gdzie ginie rozeznanie prawdy i kłamstwa, dobra i zła”. Żaden propagandzista z epoki stalinowskiej celniej by tego nie ujął. Najślynniejszy slogan tamtych żonglerów to ledwo „zgnily Zachód”.

Zresztą abp Jędraszewski zupełnie niepotrzebnie się przeraził mar-

szem w Warszawie, bo w zasadzie on się nie odbył albo odbył się tylko trochę. Poseł PiS Smoliński z radością go podsumował: „Zwieziono działaczy z całej Polski, więc ten marsz to frekwencyjna kłapa. Oj, nie wyszło, Panie Tusku”.

Jeszcze poważniejszy był głos posła Terleckiego, który 4 czerwca wyjechał na wiejski piknik i gdy skakał przez ognisko, mógł z lotu ptaka szacować rzesze uczestników i stwierdzić, że było ich więcej niż demonstrantów w stolicy.

Pracownik TVP Info był jeszcze bardziej od Terleckiego, który nie operował liczbami, precyzyjny: „Siedem na dziesięć osób, które pytałem, po co przyjechały na marsz, powiedziały mi, że nie przyjechały na marsz. Większość przyjechała do warszawskiego zoo, bo ładna pogoda, Łazienki pokazać dzieciom, Zamek, wata cukrowa na Starym Mieście, Stadion Narodowy zobaczyć w całości w pięknym słońcu spod kolumny Zygmunta” – galopował ten wytrawny stylistą, oceniając liczbę rzeczywistych demonstrantów na 50-75 tys. Za tę pełną zaangażowania relację niewątpliwie czeka go w znojnej i odpowiedzialnej pracy awans.

Jak więc powiedziano, abp Jędraszewski wyskoczył z litanią o nienawiści i pogardzie przed szereg. Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość: są inne przyczyny tego, że biorą go diabli. Kilka lat temu miasto Kraków weszło w posiadanie kościoła, który później został wystawiony na sprzedaż. Cena to ok. 8 mln zł. Arcybiskup wyraził chęć zakupu i zaproponował niezwykle korzystną jego zdaniem kwotę: 160 tys. Kraków z niebywałą odwagą odrzucił tę nęcącą ofertę, gdyż widocznie uznał, że to bezczelny skok na budżet miasta, i ogłosił licytację. Jest więc powód, by się rozsierdzić, naburmuszyć i nadąsać, a potem to w taki, a nie inny sposób odreagowywać.

A tymczasem na pocieszenie kraj kwitnie. Nic dziwnego, że kwitnie także duchowość, której w czasie kampanii nie może się oprzeć Mateusz Morawiecki. Jego typowa niedziela wygląda tak, że zilustrować może to tylko odpowiedni, lekko zmodyfikowany cytat: „Czasami

aż oczy bolą patrzeć, jak się przemęcza dla naszego kraju premier Morawiecki. Ciągłe pracuje! Wszystkiego przypilnuje i jeszcze inni, niektórzy, wtykają mu szpilki. To nie ludzie, to wilki!”.

Jak donoszą media, Morawiecki poleciał samolotem z Warszawy do Katowic, gdzie czekała na niego kolumna rządowa. Z Katowic udał się do Piekarskich na mszę z okazji „pielgrzymki mężczyzn i młodzieńców”. Potem był lot z Katowic do Radomia. Tam czekała kolumna rządowa i Morawiecki bezpiecznie przemierzył się do Starej Błotnicy, do kościoła, by wziąć udział w mszy. Ile to kosztowało i co było dalej, nie wiadomo, bo to tajemnica. Wiadomo tylko, że następnego dnia Morawiecki znów był w rozradowanym z tego powodu Radomiu.

**Kraj kwitnie. Nic dziwnego, że kwitnie także duchowość, której w czasie kampanii nie może się oprzeć Mateusz Morawiecki. „Czasami aż oczy bolą patrzeć, jak się przemęcza dla naszego kraju premier Morawiecki”**

Czyli można? Można. Bo kto bogatemu zabroni? Tym bardziej że ceny lecą w dół i utrzymać się idzie właściwie za grosze. W marcu zapytano posła PiS Kurzępę, czy dałby radę przeżyć miesiąc za niecałe 1600 zł, czyli za tyle, ile wynosiła wówczas renta dla osób niepełnosprawnych. „Oczywiście, wyobrażam sobie”, odpowiedział poseł z bujnie rozwiniętą wyobraźnią, który – jak obliczyli dziennikarze – w roku 2022 zarabiał 1616 zł, ale dziennie, więc pytanie mogło go zmylić.

Jednak da się żyć, ale dlatego, że przez kraj płynie rzeka mleka i miodu. I płynie, i brzegi rwie, co potwierdził prezes NBP Glapiński: „Polska się znajduje w najlepszym momencie roz-

woju gospodarczego od... nie wiem od kiedy. Od kiedy się tym w ogóle zajmujemy, od rewolucji przemysłowej powiedzmy. Trudno mi powiedzieć, czy od Piastów i Jagiellonów, to są kwestie anegdotyczne, ale od kiedy sami o tym decydujemy”.

Oczywiście znaleźli się tacy, którzy wytknęli Glapińskiemu, że w tej pięknej mowie pominął władcę Popiela, ale nie mieli racji. Popiel, według Wincentego Kadłubka syn siostry Juliusza Cezara, nie zdążył rozpetać rewolucji przemysłowej, bo pożarły go łakome myszy.

A jeśli ktoś nie daje wiary Glapińskiemu, niech posłucha najwzszego autorytetu ekonomicznego – samego prezesa, który natknął się przypadkiem na jakieś zapomniane przemówienie z lat 60. i nie zważał się go użyć: „Polska silna, nowocze-

sna, dynamicznie i równomiernie się rozwijająca, aspirująca do odgrywania współmiernej do jej potencjału roli w Europie i regionie, nie jest w smak Berlinowi i co za tym idzie, polskiemu środowiskom kompradorskim”.

Komprador to pomocnik berlińskich sił kolonizujących Polskę. Aby rozwiązać wątpliwości: chodzi o ruskoszkopskiego agenta o nazwisku na T i jego klikę. ●

**Janusz Anderman**

### POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK &  
RAFAŁ SKARŻYCKI

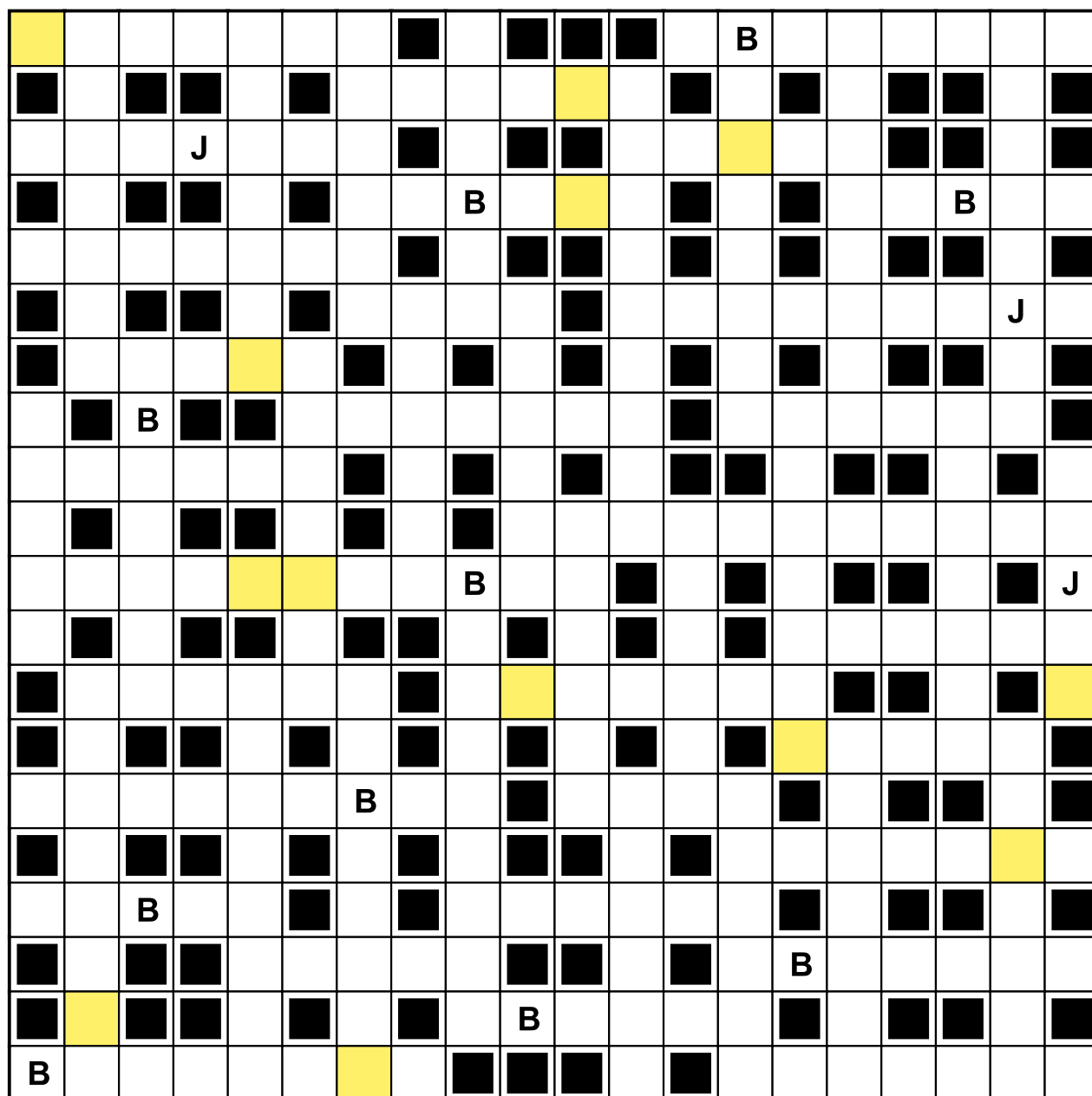


jolekka

55

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery B, J. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- ... Adeli (w antarktycznej bieli)
- błazen z komedii dell'arte
- bujda, kit
- choroba zwana też leukemią
- Ciebie, ibisie, już tu nie czci się!
- ... Coben, mistrz powieści z suspensem
- czasowo niedostępny (proszę zadzwonić później)
- Dave, frontman grupy Depeche Mode
- dawna blokada w oprogramowaniu telefonów komórkowych
- dawniej: drewniane naczynie do rozczyniania ciasta na chleb
- „Dziewiąte ...”, film Romana Polańskiego
- Fiat z „q”
- film pod napięciem
- giełdowy (kupuje, sprzedaje) lub polityczny (wytrawny)
- gra podwójna w tenisie
- „herbaciany” napój orzeźwiający
- Ignacy Domeyko lub Jan Czernski
- inna nazwa bakłażana
- jednolity blok kamienny
- klasyfikacja np. sportowców
- kraj z Witebskiem, Orszą, Słuckiem
- książeczka z popularnymi, podstawowymi zwrotami w języku obcym
- księstwo w Pirenejach
- lodyga żubrówki, tymotki
- mąż Klitajmestry, ojciec Elektry
- miasto w powiecie krośnieńskim (Podkarpacie)
- moment zwrotny w przebiegu ostrej choroby



- może zgłosić poprawki do projektu ustawy
- najstarsza era w dziejach naszego świata
- największa część Nowego Jorku, z lotniskiem im. Johna F. Kennedy'ego i stadionem Metsów
- nazwisko autora „Trzech sióstr”
- nie dba o swój wygląd; brudas
- niewielka zmiana np. w konstrukcji budynku
- np. z napisem „Dzielný pacjent”
- osłonka domowego słonka
- ... Oz, izraelski pisarz
- podobny do kilofa
- przydomek przestępcy z filmu Davida Finchera
- przystań dla jachtów
- ... punickie (Rzym kontra Kartagina)
- Robin Hood – Anglicy, Rob Roy – ?
- są i Darwina
- spryciula szybko orientujący się w sytuacji
- styl kojarzony z Tamarą Łempicką
- szykują deski, by ujeżdżać fale
- tony
- trójnog pod aparat fotograficzny
- w 2023 r. – z „Solo” Blanki
- w poniedziałki z „Dużym Formatem”
- wręczana inspektorowi ds. przyjęć
- Wyspy Korzenne (wchodzą w skład Indonezji)
- ... z Melku, bohater powieści „Imię róży”
- zabezpiecza filar mostu przed uderzeniami kry; lodolam
- zamawiane w stolarni
- zdrobniła forma imienia Brychczego, wieloletniego piłkarza Legii Warszawa
- żołnierz z superokiem

**Rozwiązanie z poprzedniego numeru:** Władza absolutna.

**Rzędami:** borowiki, Oddziałowa, luidory, wińsko, turbot, Lana, Samuel, Ziutek, przewrót, Wałęsa, Ashley, amaretto, jaskiniowiec, Królestwo, śniadanie, prawomocność, Manitoba, zdanie, mogiły, sombrero, rokosz, Rawicz, Adam, Damian, balsam, Perelka, kamieniarz, kwiecień.

**Kolumnami:** wstęp, rybak, rumor, rodło, Robbie, Lewandowski, wieże, Wolter, egzamin, tętno, księstwo, chmura, John, amper, formułka, świniarz, Doyle, kość, alpaki, myszółów, naira, inwazja, madame, dziób, łańcuchówka, Rumuni, eseje, imbir, azoik, ornat.

Miej oko na jolekka

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



**KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ**

Pobierz z

App Store

POBIERZ Z

Google Play

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34182171

**Redaktor prowadzący:** Mariusz Burchart. **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielas, Zuzanna Bukłaha, Piotr Gluchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Ariadna Machowska, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Szyto, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wójcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Pisz dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarniecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wleki, Ewa Wołkanowska-Kołodziej. **Grafik:** Agata Łuszcz. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafał Wojciechowski. **Korekta:** Ewa Krzywicka. **Adres redakcji:** ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 46 37, e-mail: duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat. **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.